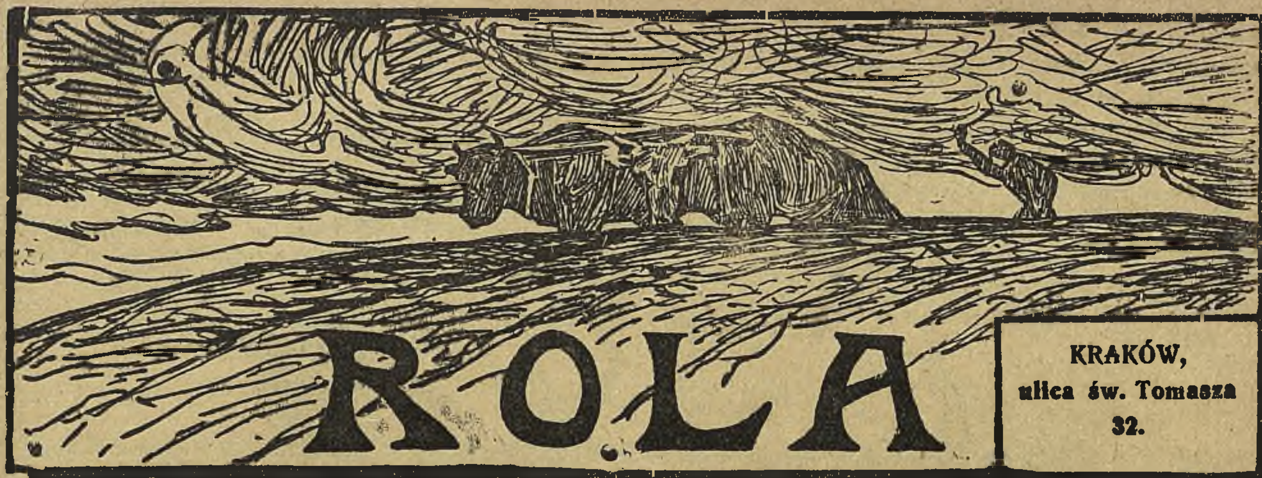
Numer 24. Nal. poczt. opł. rycz. Dnia 12 Czerwca 1927



KRAKÓW,
ulica św. Tomasza 32.

ILUSTROWANY BEZPARTYJNY TYGODNIK KU POUCZENIU I ROZRYWCE

Za zmianę adresu należy się 40 groszy.

Mądry rabin.

Do pewnego mądrego Rebe, uczonego w piśmie, przybyła deputacja i zapytała:

— Powiedz nam, kochany Rebe, kto jest bogatszy, czy ten, co ma 100.000 złotych, czy ten co ma dziesięć córek.

Rabin, podumawszy chwilę odparł:

— Stanowczo ten, kto ma dziesięć córek, bo kto ma 100.000 radby mięć jeszcze więcej, kto ma zaś dziesięć córek, ten sobie z pewnością nie życzy ich mieć więcej.



Wesoły człowiek.

Pan (do sługi, która pierwszy raz jechała koleją): — Jakże ci się Katarzyno jechało?

Sługa: — Dobrze, prosę pana! Ale ten, co nas wiózł, to musi być dopiero wesoły człowiek!

Pan: Dlaczego?

Sługa: Ano... bo co raz, to sobie pogwizdywał,

Pan: Jakże pogwizdywał?

Sługa: Ano, mocno, masyną...



Oto powód.

Pewna rodzina wybierała się do Ameryki. Starszy syn, który lubiał jeść wiele, odradzał rodzicom tej podróży.

Dlaczego nie chcesz jechać z nami? — pytali rodzice.

— Nauczyciel mówił mi — odrzekł synek — że kiedy u nas jest południe, to w Ameryce dopiero jest godzina 6 rano, więc musiałbym bardzo długo czekać na obiad.



Nie zaimponował jej.

Pan Gustaw Krawczykiewicz obleśnie do swej żony:

— No, kochana żonusiu ciesz się, zostałem nareszcie obrany posłem, może już teraz będziesz na mnie łaskawą.

Żona z grymasem i lekceważeniem.

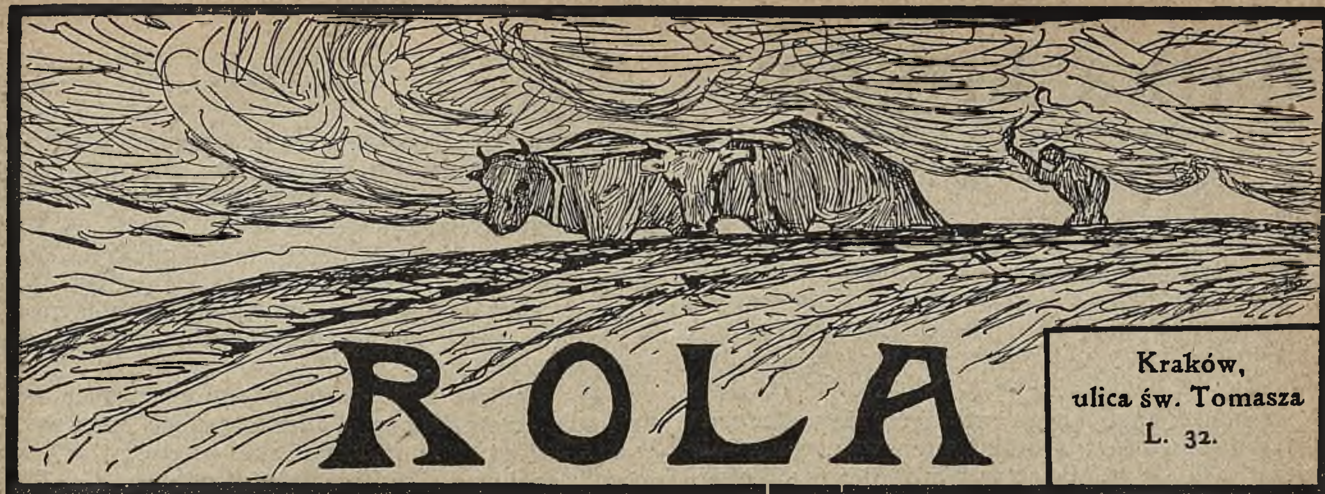
— Owa! wielkie rzeczy, to w takim razie dodali ci jedynie jedną literę „p", bo resztą to już byłeś i dotąd.



Matka: Żebyś się tak dzielnie uczył jak dzielnie zajadasz.

Syn:, W jedzeniu ćwiczę się od urodzenia, a uczę się dopiero trzy lata.

Numer 24. Rok X. Kraków, dnia 12 Czerwca 1927.



ILUSTROWANY BEZPARTYJNY TYGODNIK KU POUCZENIU I ROZRYWCE.

Prenumerata na rok 1927: Rocznie 12 zł, półrocznie 6·50 zł, kwartalnie 3·40; do Ameryki 2 i pół dolara rocznie; do Czechosłowacji rocznie 50 kor. cz., półrocznie 27 kor. cz., kwart. 15 kor. cz. — Numer pojedynczy we wszystkich agencjach i w Administracji „Roli" 30 groszy. — Adres na listy do Redakcji i Administracji: **Kraków, św. Tomasza 32.** Konto P. K. O. 406.301.

Wybór zawodu.

Zbliża się koniec roku szkolnego, dziatwa po dziesięciomiesięcznej pracy otrzyma świadectwa, aby w czasie wakacyj nieco odetchnąć i znowu po dwóch miesiącach powrócić na ławę szkolną. I znów z początkiem września wróci dziatwa do dawnej pracy, ale nie wszystka. Ci, którzy ukończą czwartą względnie siódmą klasę szkoły powszechnej, będą musieli rozglądnąć się za nowym zawodem, w którem przyjdzie im przepracować całe życie. Z chłopcami starszymi po skończonej siódmej klasie mniej jest kłopotu. Chłopiec taki, choć jeszcze ma niewiele doświadczenia życiowego, przecież realniej patrzy już na świat, ma wyrobione upodobania do niektórych rzeczy, darząc inne obojętnością, lub odczuwając nawet pewnego rodzaju wstręt do nich. Gdy mu przyjdzie wybierać zawód, on sam rozstrzyga o swej przyszłości.

Gorzej jest z chłopcami, którzy kończą czwartą klasę. Chłopiec taki jest jeszcze dzieckiem i o swej przyszłości decydować nie może. Decydują za niego rodzice, a decydują po największej części błędnie. W największej ilości wypadków marzeniem rodziców jest, aby syn ich w przyszłości zajął wybitne stanowisko w społeczeństwie, jako ksiądz lub wybitny urzędnik. Ostateczną decyzję odkładają na później, a tymczasem szukają dróg, któreby ich synaczka do owych dostojeństw doprowadziły. Najprostszą i na pozór najkrótszą drogą jest tu gimnazjum. To też niemal każdy marzy o tem, aby syna swojego „wepchać" do tego gimnazjum. Nie słuchają przestróg nauczycieli, że syn ich, może nawet poczciwy i dobry chłopiec, do gimnazjum się nie nadaje, ale szukają protekcji, mobilizują częstokroć całą falangę wujciów i cioć, używają do poparcia ludzi wpływowych i w rezultacie dopinają celu, umieszczając swojego syna w gimnazjum. W tem zaślepieniu nie widzą nawet, jaką tem wyrządzili krzywdę swemu synowi, jaką szkodę przynieśli społeczeństwu.

Gimnazjum zapchane takimi protektorowiczami ledwie dycha pod ciężarem nagromadzonego balastu. Profesorowie narzekają na szkołę powszechną, że ta źle przygotowuje do gimnazjum, sypią „dwóje", a rodzice odczuwają żal i do jednej i do drugiej szkoły. Taki „wepchany" chłopiec do gimnazjum powtarza niemal każdą klasę, zniechęcając się coraz bardziej do nauki, albo wrazie trudności materjalnych rodziców opuszcza szkołę, stając się wykolejeńcem na całe życie.

Dlatego też rodzice chłopców, którzy skończą obecnie czwartą klasę, powinni dobrze zastanowić się już teraz, co mają uczynić z swem dzieckiem po wakacjach. Nie należy się tu powodować jakiemiś głupiemi ambicjami, ale trzeba zapytać się rozsądku, co im uczynić należy. A przed decyzją dobrze jest poradzić się nauczyciela, czy syn ich nadaje się do gimnazjum i w myśl jego rady postąpić.

Aby zapobiedz zapychaniu gimnazjów przez materjał nieodpowiedni, dobreby było zaprowadzenie na świadectwach z czwartej klasy dopisków, czy dany uczeń nadaje się do gimnazjum czy nie. Uczeń, któryby miał na świadectwie zaznaczone, że nie nadaje się do gimnazjum, nie powinienby wówczas być stanowczo do żadnego gimnazjum przyjęty. Sposób ten zaoszczędziłby wielu rodzicom zawodów, jakie ich obecnie spotykają.

Napisaliśmy tych słów parę, aby przestrzedz rodziców przed chęcią robienia z swych synów przyszłych dygnitarzy, bo ich ambicja może być srogo ukarana zmarnowanem życiem ich najdroższej pociechy. A przeciwnie, gdy u rodziców rozsądek weźmie górę, gdy się dobrze zastanowią i skierują syna swego na właściwe tory, zapewnią mu przyszłość jasną a sami unikną wielu trosk i zawodów.

Matka królów.

Powieść historyczna z XV. w.

16. Świdrygiełło.

Poszedłszy za radą królowej, której biskup nie był przeciwnym, Jagiełło potwierdził przywileje szlachcie nadane, otrzymał za to zapewnienie następstwa po sobie syna, odwiedził potem Kraków i poraz wtóry po rozstaniu się przykrem w Medyce, spotkał z Sonką, która go wdzięcznie przyjęła.

Wiadomość o uzyskaniu przyrzeczenia wyboru na tron Władysława uczyniła królowę wdzięczną, ale wszystkich, co tajemnie sprzyjali królewnie Jadwidze, oburzyła!

Krótko zabawiwszy w Krakowie, pociągnął król do Lublina, ku Rusi swej, nie mogąc na Litwę.

Jednego dnia rano, gdy król był na nabożeństwie w starej kapliczce zamkowej w Lublinie, dano mu klęczącemu jeszcze na modlitwie znać, iż od Witolda przybył jeden z pisarzów jego, Małdrzyk Róża.

Jagiełło tak bardzo zgody pragnął i pokoju, iż dla nich gotów się był wyrzec korony, a miał taką słabość dla krwi swej i Litwy, że na wieść o pośle, mogącym mu zwiastować pojednanie, twarz mu się zaśmiała.

Uradował się, iż książę czynił krok jakiś, mogący do porozumienia się prowadzić.

Zaledwie ksiądz podał patenę do pocałowania, gdy król wyszedł krokiem pośpiesznym, oglądając się za Małdrzykiem.

Ten stał, zaledwie z konia zsiadłszy, w podworcu. Król zdala skinął na niego.

— Z czem ty do mnie? — spytał król.

— Z prośbą od pana mojego — ochoczo począł Małdrzyk. — Książę zaprasza miłość waszą, wedle starego zwyczaju, jak co roku, na Litwę do Wilna, gdzieby i Gody razem panowie przebyli.

Król aż zadrżał z radości, ale nie wiedział co odpowiedzieć. W pierwszej chwili odpowiedź mu na ustach zamarła. Obejrzał się dokoła, jakby wzywał pomocy czyjej, ale nikogo z przedniejszych panów przy nim nie było.

Pilno było tak Jagielle, że po wyjściu Małdrzyka, natychmiast posłał po biskupa Zbigniewa, który mu towarzyszył i do panów rady.

Gdy wchodzącemu biskupowi król śpieszył zwiastować nowinę, z pierwszych słów jego się przekonał, że Zbyszek o wszystkiem już był zawiadomiony, jak zwykle.

— Cóż wy na to? — porywczo i śpiesznie zapytał Jagiełło.

— Sprawa to dojrzałej wymagająca rozwagi — rzekł biskup poważnie. — Zgoda i zapomnienie uraz byłoby pożądanem, okazać nieufność i obawę nie jest dobrze, ale zdać się na łaskę Witolda i słowu jego zawierzyć, — niebezpiecznie.

Naradzano się długo, a co było mężów przy królu poważniejszych, zbierali się przez cały dzień powoływali i badali Małdrzyka, chodzili do króla, myśleli, rozstrząsali z obawą za i przeciw, nie mogąc nic stanowczego wyrzec.

W końcu jednak zdanie biskupa i życzenie króla zwyciężać zaczęło. Nie godziło się zaprosin Witoldowych odrzucać, należało jechać na Litwę.

Łatwo się domyśleć, że pomimo uspakajających zapewnień Witoldowego posła, myśl koronacji wcale nie była zaniechaną, owszem, czyniono do niej właśnie przygotowania.

Przybycie króla do Wilna i po drodze już słuchy o wielkim zjeździe książąt i bojarów, nie dozwalały o tem powątpiewać.

Witold występował po monarszemu, a choć nie rozrzucał i nie trwonił, jak Jagiełło, tam gdzie trzeba było okazać swą możność, sypał chętnie i miał z czego: skarb jego był zawsze pełen.

Pierwszego dnia o niczem mowy nie było, domyślać się tylko kazano, że koronacja się gotuje... Nazajutrz, zapomniawszy o tem, co Małdrzyk obiecywał, że o koronie mowy nie będzie, przypuszczono zewsząd szturm gwałtowny.

W wielkiej izbie dolnego zamku, wobec króla, Witolda, wielu książąt i nieodstępnego biskupa, Paweł Rusdorf, mistrz krzyżacki, pierwszy wystąpił, sam od siebie, z serca i przyjaźni wielkiej dla Polski i Litwy. Miodowe jego słowa były jakby echem powtórzonem głosu króla rzymskiego. Mistrz bolał niezmiernie nad nieporozumieniem i rozterką nie pragnął nic, jak powiadał, tylko obu państw pomnożenia, potęgi i sławy.

Gdy dokończył, wstał Oleśnicki... Krzyżak politykował i uwodził, biskup z męską otwartością kłam mu zadał w oczy.

— Nie mówcie nam ani o miłości, ani o życzliwości dla nas — odparł śmiało. — Mamy w rękach niezbite dowody, własne listy wasze, które świadczą, jak wy i król rzymski sprzyjacie nam i do czego dążycie... Wszystko to jest dziełem waszem... Przejęte pisma z pieczęciami, których się zaprzeć nie możecie, mówią przeciwko wam i zapewnieniom kłam zadają.

Nie spodziewano się nigdy, aby biskup tak śmiało i jawnie mógł wystąpić, nie oszczędzając ani przytomnego mistrza, ani siedzącego tuż Witolda. Zdumienie, przerażenie było wielkie. Król oczy spuścił i pobladł, mistrz Rusdorf zatrząsł się, twarz zapłonęła... rzucił oczyma dokoła, nie wiedział, co odpowiedzieć.

W najprzykrzejszem położeniu znalazł się Witold, który, nie mogąc ani za sobą przemówić, ani Krzyżaka bronić, porwał się z siedzenia i, słowa nie mówiąc, wybiegł z sali.

Dzień to był stanowczy; rozbił on nadzieje i złudzenia.

Zmieniło się wszystko, smutek rozpostarł się po otaczających Witolda, którzy wczoraj jeszcze byli jaknajlepszej myśli, wielki książę przekonał się, iż Zbigniewa ani ujmie, ani złamie.

Od dni kilku cierpiący Witold, po ostatniej tej rozprawie z biskupem, zaniemógł mocniej... Przestraszona o niego i o siebie Juljanna, nie wiedziała już, co począć. Razem z temi przychodziły zewsząd wieści głuche, że Świdrygiełło jawnie już do spadku po żyjącym Witoldzie czynił zachody i przygotowania.

Po przegranej z Oleśnickim walce, zaszła jednak zmiana zupełna w usposobieniu Witolda, opadł na siłach ducha, wyrzekł się już starań wszelkich, jakieś przeczucie końca go owiało.

Ostatnich dni października wielki ten mąż życie w Trokach zakończył.

Było to hasłem dla Świdrygiełły do opanowania wszystkiego, na co czyhał.

Jagiełło, którego zgon ten na Litwie pochwycił, w pierwszych chwilach po śmierci Witolda, oddalić się stąd nie mógł; trzeba było rząd jakiś i ład wprowadzić. Jedynego doradcy, któryby mu najlepiej mógł posłużyć, nie miał przy sobie.

Świdrygiełło, nie pytając o nic, wcześnie przygotowany, z pomocnikami swymi zagarniał zamki, opanowywał gródki, załogi sobie pozyskiwał.

Nie przebrzmiały jeszcze dzwony pogrzebowe, gdy do Jagiełły, który znajdował się na zamku Wileńskim ze swoim orszakiem, nie przedsiębiorąc nic i namyślając się, co ma począć, wpadł butnie, jak pan tutejszy, Świdrygiełło. W istocie skorzystał on z czasu pogrzebu, aby z jednej strony opanować Troki, z drugiej zamki Wileńskie ludźmi swymi poobsadzać.

Pałała mu twarz i oczy. Szedł nie jak podwładny, ale jako władnący już Litwą, nie jak do króla, ale do swego jeńca i więźnia. Garść Polaków nic mu nie znaczyła.

— Litwa moja — zawołał — czy o dobrej woli, czy siłą wezmę ją... Rozumiesz ty to?

Jagiełło zamruczał coś niewyraźnie, a potem dodał:

— Ja sam nie mogę... Trzeba panów rady pytać. Ich tu niema.

— Ja ani ciebie, ani ich się pytać i prosić nie myślę — krzyknął kniaź. — Litwa nie była twoją, żebyś ty ją Polsce oddawał za żonę. Jam taki dobry następca po ojcu, jak i ty, prawo moje do dziedzictwa tej ziemi nie gorsze.

— Bracie! — chciał począć łagodniej Jagiełło.

Posłyszawszy to imię kniaź w uniesieniu gwałtownem wybuchnął.

— Kiedyś ty mi bratem był? Teraz chyba ci się braterstwo przypomniało, gdyś się mnie zląkł! Ja się z tobą bratać nie myślę, ja ciebie nie znam!

I pięść ściśniętą podniósł do góry.

Jagiełło, nie widząc innego sposobu, chciał go ułagodzić obietnicą puszczenia mu Litwy, ale nie na wiele się to przydać mogło.

— Jam ci chciał bez pogróżek, a przymusu, sam Litwę puścić — rzekł strwożony. — Miejże pomiarkowanie i cierpliwość. Musisz tylko jak Witold stać wiernie przy mnie i z Polską.

Śmiechem złym, przysiadając aż i zęby ukazując, obie ręce w boki wparłszy, zaryhotał kniaź dziko.

— Nu! nu! zobaczysz, jak wiernym ja ci będę! Zobaczysz... Ja nad sobą nikogo nie ścierpię. Tak dobry tu jestem, jak ty tam w Krakowie, a może i lepszy...

Podniósł się potem, wyprostował, milcząc znowu złożoną pięść prawie do twarzy przysunął Jagielle i drzwiami rzuciwszy, wyszedł z izby.

Sceny tej upokarzającej panowie polscy choć nie byli świadkami, zebrani w sąsiedniej komnacie domyślili się z podniesionych głosów i krzyku.

Krew w nich wrzała, jeden drugiego wstrzymywać musiał, aby nie wpadli do izby.

Lecz jak tylko usłyszeli wychodzącego kniazia, natychmiast Głowacz z Oleśnicy, Andrzej z Tęczyna i Mikołaj Drzewiecki z tych, co przy królu zostali, wbiegli i znaleźli Jagiełłę pod wrażeniem pogróżek, na poły struchlałym.

Dawno już oni przewidywali, na co się zanosiło, pilno czuwając nad tem, ażeby na zamek wileński, który zajmowali, nie wpuszczać nikogo.

Dokoła Świdrygiełły gawiedź krążyła, otaczała, wciskała się i odgrażała coraz zuchwalej.

— Miłościwy panie — odezwał się, przybliżając Andrzej z Tęczyna — źle coś z nami... Nas tu już nie mają za nic, rozkazy wasze im jakby wiatr szumiał... nie chcą słuchać. Po mieście wszędzie Świdrygiełło straże postawiał, bramy pozajmował. Troki i Witoldowe skarby w jego ręku, ludzi pełno, inne zamki jedne po drugich mu się poddają. Głosi już się wielkim kniaziem Litwy i Rusi.

Zwolna głowę podniósł Jagiełło, zdało mu się, że najlepiej będzie bronić brata, a Polaków uspokajać...

— Niema w tem nic złego — rzekł zasępiony. — Świdrygiełło dawno miał przyrzeczenie ode mnie, że mu Litwę puszczę po Witoldzie... Inaczej nie może być... Zresztą, co? Gdybym ja mu jej nie dał po dobrej woli, sam ją weźmie gwałtem. Lepiej mu ją dać i w zgodzie żyć. Będzie rządził z mojej ręki...

Panowie Tęczyńscy, Drzewicki, Zaklika, Tarło, spojrzeli po sobie. Gorzko się im zrobiło, ale nie śmieli sprzeciwiać się królowi, gdy rzeczy już tak daleko zaszły. Zapóźno było.

Jagiełło podrażniony, przygnieciony, siedział smutny, oczu podnieść nie śmiejąc.

— Trzeba Świdrygiełłę pozyskać, złagodzić — zamruczał — i to co rychlej... co rychlej...

Obejrzawszy się po swoich, za innymi postrzegł stojącego Jana Mężyka z Dąbrowy, człeka śmiałego i zręcznego. Skinął na niego.

— Mężyk! pódź sam tu.

To mówiąc, oglądał się, jakby czegoś koło siebie szukał. A miał zawsze obyczajem swoim skrzynkę z klejnotami pod ręką, jeździła ona z nim wszędzie, bo był tak do obdarowywania skłonnym, że nikogo od siebie z próżnemi dłoniami nie odpuścił. Musiał mieć zawsze czemś przybywających obdzielać. Płacił hojnie za każdą usługę, żadnej prośbie odmówić nie umiał.

— Gdzie moja skrzynka? — zapytał, nie widząc jej.

Drzewicki, który miał i pieczęć mniejszą i pieniądze królewskie, poszedł po nią. Stała ukryta w drugim końcu izby na policy. Przyniósł i postawił ją przed królem, który drżącemi rękami począł, otworzywszy ją, przebierać między klejnotami, a było ich tam niewiele i co pośledniejszych, bo lepsze król już porozdawał.

Znalazł się przecie na dnie duży pierścień z kamieniem zielonym, pokaźny, jakich naówczas biskupi i książęta używali.

Wziął go król, i, zawinąwszy w jedwabnicę, której szmatka w pudle leżała, podał Mężykowi.

— Na, idź mi zaraz — rzekł, wahając się. — Idź do księcia Świdrygiełły, pokłoń mu się ode mnie, a powiedz, że na znak panowania nad Litwą, pierścień mu ten posyłam.

— Miłościwy panie — ośmielił się odezwać Drzewicki — u nas na znak panowania zwykle się miecz daje, a pierścień tylko biskupom.

Jagiełło się zżymnął.

— Co ty mnie będziesz uczył! Wszystko jedno...

Zadumał się troszkę i dodał głosem smutnym.

— Co czynić? Lepiej samemu dać, niżby miał wydzierać! Nie można się ratować inaczej. Sami widzicie... wszystko ogarnął! Człowiek gorący, jak ogień, gdy mu się głowa zawróci, gotów na wszystko... Inaczej nie wybrniemy. To będzie najlepszy sposób... Zaraz złagodnieje, zobaczycie.

Dwór królewski spoglądał po sobie, ale nie było już Zbyszka biskupa, aby królowi męstwa dodał i powstrzymał.

Mężyk się jeszcze, w ręku obracając jedwabny węzeł, ociągał z wyjściem, gdy Jagiełło zawołał niecierpliwie.

— A no, idźże mi zaraz, idź. Czem prędzej, tem lepiej, aby się rozsierdzić nie miał czasu.

To mówiąc, siadł poruszony i niespokojny, wody sobie podać kazawszy.

Nie chcieli go trwożyć więcej panowie przy nim będący, ale położenie króla, ich wszystkich, garstki Polaków, stanowiącej straż, a teraz na zamek spędzonej, było takie, iż równało się oblężeniu.

Od pogrzebu Witolda Świdrygiełło jawnie wszelką władzę pochwycił, względem króla i Polaków znajdując się tak, jakgdyby ich wyzywał i chciał drażnić. Służba jego i Rusini zapowiadali w głos, że stąd i noga Lachów nie ujdzie. Na gardło im zdala pokazywali.

Na rozum i pomiarkowanie Świdrygiełły wcale rachować nie było można. Przez pół dnia bywał pijany, a nagłe zawładnięcie skarbami ogromnemi, które po Witoldzie pozostały, ludzie do niego garnący się zewsząd, urzędnicy i bojarowie, którzy w nadziei nagród poddawali mu się i kłaniali, wbili go w pychę niezmierną.

On i jego Rusini w żywe oczy szydzili z Jagiełły, z Polaków, i umyślnie zbliżali się aż pod okna i sieni, aby ich wyzywać i łajać.

Jeden Jagiełło pochlebiał sobie, że ułagodzić go i zagodzić potrafi; dwór się nie łudził, czując, że czeka niewola lub co gorszego jeszcze.

Jedno słowo i bójka mogła napaść i rzeź wywołać.

Oczekiwano na powrót posłanego z pierścieniem Mężyka, który nierychło się przywlókł i królowi powiedział tylko krótko, że kniaziowi do rąk pierścień oddał, za który on sam miał przyjść dziękować.

Jagiełło i tem się uradował.

— Widzicie! widzicie! — rzekł do swoich — albo nie mówiłem? Serce w tym człowieku dobre, krew tylko gorąca, a jeszcze ją tym miodem podlewa, aby się więcej rozpalała... Teraz on zaraz będzie inny.

Tymczasem Mężyk w drugiej izbie, swoim pocichu opowiadał, jak go z tym pierścieniem przyjęto.

Siedział Świdrygiełło ze swoimi za stołem i pił, stół pięściami tłukąc, otoczony pijanymi, jak on, którzy każdemu jego słowu pokłonami, śmiechem, okrzykami i biciem w dłonie wtórowali.

Zobaczywszy Mężyka we drzwiach, zawołał namarszczony.

— A ten Lach, psia wiara, czego tu lezie?

Dąbrowa wtedy pokłoniwszy się, począł żwawo poselstwo sprawiać i położył pierścień przed kniaziem. Zobaczywszy go, ujął się w boki Świdrygiełło i począł się zanosić ze śmiechu.

— Co to ja, baba, żeby mi pierścień z oczkiem słał? — zakrzyczał. — Albo ja to potrzebuję, ażeby mi ten dziad Litwę dawał, ja ją już wziął?

Mężyk stał, sądząc, że mu, opamiętawszy się, choć jakie słowo poczciwe da dla króla, ale się nie doczekał nic, oprócz gorzkiego szyderstwa.

Spytał co ma królowi odnieść.

— Powiedz mu, co słyszałeś — krzyknął kniaź — a czego ty nie zechcesz powtórzyć, ja mu sam przyniosę

Bojarowie parsknęli śmiechem, patrząc na Mężyka, w którym krew kipiała, poczęli różnemi słowy zelżywemi rzucać, przedrwiwać go z polska, aż w końcu poseł pokłoniwszy się, musiał iść, nie było na co więcej czekać.

Król dnia tego spokojniejszy poszedł do łóżka.

Nazajutrz rano, gdy Jagiełło, wciąż dobrej myśli będąc i sądząc, że wszystko ubił pierścieniem, oczekiwał podziękowania i odwiedzin, zajechał na zamek Świdrygiełło z całym ludzi orszakiem, a sam wpadł hałaśliwie do komnaty króla już po rannym obiedzie, pijany i czerwony cały.

Król śmiejąc się, witać go chciał dobrem słowem, gdy zaczął krzyczeć od progu.

— Co ty myślisz, stary grzybie, że ja na twoje słodkie słowa i pochlebstwa dam się wziąć, a kłaniać ci się będę? Sądzisz, żem ja już zapomniał, jakeś ty mnie przez dziewięć lat trzymał w niewoli więźniem? Teraz na ciebie przyszedł czas, popadłeś mi się w ręce, pomszczę się krzywdy mojej, pomszczę.

Król podniósł głowę, osłupiały, uszom prawie nie wierzył.

— Tak! ty niewolnikiem moim jesteś — dodał kniaź. Nie puszczę cię stąd do młodej żonki, niechaj ona sobie wczasu zażyje z laszkami, płakać po tobie nie będzie... Ja cię w dyby okuję...

Chciał się odezwać Jagiełło, ale mu nie dał pijanica, szydersko się wciąż naśmiewając z niego.

Jagiełło sparł się na ręku, oczy sobie zakrywając, nie odpowiedział nic. Z wielką cierpliwością znosił obelgi, wyrzuty i znęcanie się, wzdychając tylko. Na ostatek z piersi mu się dobyło.

— Sromajże się, co czynisz ze mną! Jam dziś bezbronny w twoich rękach, ale pomszczę się na tobie...

— Ani ich zemsty, ani ciebie się ja nie boję — wrzasnął Świdrygiełło. — Zostaniesz w niewoli, a jeśli myślisz, że ja ci dopuszczę stąd listy słać i skargi, to mnie nie znasz. Ani ptak stąd nie wyleci... Do ciebie i od ciebie nie przyjdzie nikt bez mojego pozwolenia... A poczniesz się ruszać, i ty, i twoje Lachy głowami nałożycie.

I pogroziwszy pięścią, z hałasem i trzaskiem jak wszedł, tak wybiegł nazad.

Od dnia tego nie było już wątpliwości, że się za jeńców uważać musieli. Straże swoje postawił Świdrygiełło u bram, pod samym prawie dworem, nikogo wpuszczać, ani wypuszczać nie pozwalając.

(Ciąg dalszy nastąpi).



Po deszczu.

Otrzepany, ożeżwiony,
Świat się Boży mieni, —
Wśród łąk, kwiatów, róż, bławatów,
I wśród drzew zieleni.
Tęskne bory i jawory, —
Szumią w dziwne głosy,
Opuszczają, otrząsają
Deszczu, krople rosy.
Bratek cichy, swe kielichy
Otworzył i wzdycha:
Z rozrzewnieniem, z uniesieniem...
W słonku się uśmiecha.
Konik polny, w trawie wolny
Wygrywa pod kwiatem
I cieszy się tak cudownym —
Tak czarownym światem.
Jaskółeczka do kółeczka —
Szybuje dokoła,
Jakby strzała, ponad ziemię —
Zatacza wesoła.
W nieb lazurze, hen gdzieś w górze
Skowroneczek dzwoni,
Wdzięczne głosy, pod niebiosy,
Białą chmurkę goni.
Otrzepany, orzeżwiony,
Świat się boży mieni...,
W deszczu rosie, w ptaszął głosie
Wśród kwiecia, zieleni.

Fr. Maciol.

W ŚWIĄTYNI PAŃSKIEJ.



Gdy człowiekowi dobrze się powodzi, gdy mu szczęście sprzyja, wówczas najczęściej zapomina o Bogu i oddaje się rozkoszom życiowem. Kościół i modlitwa stoją u niego na ostatnim planie. Wprawdzie w niedziele i święta widzimy kościoły przepełnione, zdawałoby się więc, że pobożność nie wygasła, że przepełnia serca setek i tysięcy ludzi. Jakże jednak jest inaczej w rzeczywistości! Gdybyśmy zdołali zbadać myśl tych tłumów, przepełniających świątynie Pańskie, przekonalibyśmy się, iż jedni poszli tam dla zwyczaju, ciałem są obecni w kościele, ale duchem poza nim; inni przyszli po to, aby zobaczyć znajomych, a wreszcie jeszcze inni z najrozmaitszych powodów, a zaledwie mała cząstka jest takich, którzy rzeczywiście zapragnęli porozmawiać z Bogiem w cichej modlitwie i ukorzyć się przed Nim.

Inaczej jest w dni powszednie, w chwilach gdy niema w kościele żadnego nabożeństwa. Wówczas nawiedzają świątynie Pańskie ci, którzy pragną szczerej i z głębi serca płynącej modlitwy. Taki moment przedstawia nasz obrazek, narysowany przez artystę malarza G. Pilatti. W kruchcie kościelnej siedzi starzec, podróżny czy żebrak, zatopiony w cichej a kornej modlitwie. Na dalszym planie klęczy jakieś bosonogie dziewczątko. Dwa wieki życia ludzkiego a jedna myśl ich przepełnia: szczera, serdeczna rozmowa z Panem nad pany. Obydwoje w cichej i kornej modlitwie czynią przed Bogiem spowiedź swojego życia, dziękując za otrzymane łaski, a prosząc o nowe. A modlitwa taka nigdy nie zawodzi, gdyż wypowiadana jest ona nie dla oka ludzkiego, ale z głębokiej potrzeby duszy.

Zołnierz ocalony.

Nie mam ja zamiaru opowiadać Wam cudów, być może, że tych nie poważylibyście się spodziewać dla siebie. Ja Wam tylko przywiodę widoczny skutek opieki Najśw. Panny, który każdy z Was bez stania się winnym zuchwalstwa spodziewać się może, a chcąc bardziej nadzieję w Was obudzić i umocnić przytoczę pobożność ku Niej nie przechodzącą możności naśladowania.

Żołnierz nazwiskiem Jan Smaga odmawiał codziennie 7 Ojcze nasz i 7 Zdrowaś Marja dla uczczenia siedmiu radości i siedmiu boleści Najśw. Panny. Kto go nauczył tej praktyki, tego ja nie wiem; tylko wiadomo mi, że on ją zawsze zachowywał; że w tym względzie nie uchybiał nigdy. A jeśli czasem będąc na łożu przypomniał sobie, że jej nie dopełnił, stawał natychmiast w każdej porze i na kolanach odmawiał tę modlitewkę.

Podczas wojny Smaga znajdował się na pierwszej linji naprzeciw nieprzyjaciela i czekał znaku do uderzenia nań. Przypomniawszy sobie, że nie odmówił swej zwyczajnej modlitwy, zrobił coprędzej znak krzyża św. i począł ją mówić. Jego towarzysze, którzy się znajdowali, gdy to postrzegli, poczęli się śmiać z niego i nazywali go bojaźliwym i tchórzem. Śmiechy i urągania z ust do ust przechodziły: Smaga boi się, Smaga zrobił się nabożnym. Słyszał on swoje nazwisko wymawiane za sobą i naokoło siebie ze śmiechem i dowcipnemi żartami, jednak nie zważając na to wcale, odmawiał dalej swą modlitwę. Tylko co ją skończył, nieprzyjaciel zrobił pierwszy atak. Smaga z całego swego szeregu sam jeden tylko pozostał nie otrzymawszy żadnego szwanku. Widział on przy swych nogach leżących bez życia tych wszystkich, co się przed chwilą z niego naśmiewali i natrząsali z jego nabożeństwa. Na ten widok nie mógł

nie uznać wszechmocnej prawicy, co go ocaliła. Przez całą walkę, która trwała długo, długo i była nader zacięta, nie otrzymał ani jednej rany. Gdy się wojna skończyła, powrócił do domu zupełnie zdrów, zawsze i wszędzie głosił pochwały Tej, której wedle swego mocnego przekonania, winien był życie i nienaruszone zdrowie.

Niech wzgląd na ludzi nie będzie nigdy dla nas przeszkodą do wykonania ćwiczeń pobożności ku Matce Najśw. a kiedy ujrzym drugich zajętych pełnieniem swych względem Niej powinności, nie śmiejmy się z nich i nie urągajmy, bo Ona niemniej jest potężną do ukarania nas jak i do wynagrodzenia.

Józef Serafin.



MACIEK BZDURA GADA:

Kaśka sie wściekła, taj i tylo. Padam jej po katolicku, ze na nią kolej teraz z gadaniem, a ona ino ozór na mnie wywaliła, odwróciła sie do mnie swoją przeciwną stroną i juz jej nie było. Ha, trudno, myśle se, nie chce ona, to muse ja chcieć, choćby mi sie nie chciało, bo ludziom byłoby w niedziele straśnie jałowo. I choć leje sie ze mnie od góry i od dołu z okrutnego gorąca, nasmarowałem gębe masłem z chlebem i gadam, nieprzymirzając, jak co tydzień. Odrobię swoje, a Kaśkę za mnie Poniezus ukarze.

Zreśtą moze i nie ukarze, bo jakby tak chciał wszyćkie baby na świecie karać za to, cego one nie robią, toby jesce musiał bardziej karać za to, co robią, i takby temu karaniowi nie było końca, pókiby jedna baba na świecie została. Moze sie to komu nie widzi, co ja gadam, ale trudno, bo ludzie bab nie znają tak, jak ja. Żeniaty zna ino swoją, to wszyćkie inse wydają mu sie aniołami. A tymcasem, aby wszyćkie baby poznać to długie lata trzeba w panieństwie chodzić, tak jako ja i wtedy dopiero się wie dokumentnie, ze one nic nie wartają.

Na przykład Kuba Clicek, który ma babę sekutnicę, pada, ze juz gorsego Heroda na świecie niema od jego Jagi. Natomiast widzi mu się i Baśka Matusowa, i Kaśka Ignacowa, i Weronika Maciejowa i pada: Oj, zeby to która z tamtych była, a nie ta, toby wszyćko było dobrze. A znowu Matus na swoją Baśke ani we dnie ani w nocy patrzyć nie moze, ino ciągiem gały przewraca za Jagą Kubową i takby się chętnie z Kubą pomieniał, zeby się ino jegomości nie lękał. I tak prawie wszyscy zeniaci! Kawaler to co innego. Ta mu sie uwidzi, to jest ta, a zasię do tamtej go ciągnie, to jest tamta. Ma wybór nicem na jarmaku!

Swoją drogą, ze świat ten nie jest całkiem dobrze urządzony. W niktórych rzecach dobrze, ale nie we wszyćkich. Na przykład nie udaje ci się żyto, to je sobie wymienis cy to u somsiada, cy we dworze, cy nawet w inksy wsi. Nie zdarzy ci się śkapa, to ją wywiedzies na jarmak, sprzedas Mośkowi choćby za byle co, a kupis se inną, jaka ci do serca przypada. I ze wszyćkiem tak jest, ino z babą inacy. Urodziłeś się z nią, więc i z nią na jednem łóżku umierać musis. A juz to samo niejednego tak do tej nieoderwalnej połowicy uprzedza, ze choćby ona była najlepsa, co się casem, choć rzadko, zdarza, to człekowi się tak przyi, ze duchem chciałby se odmienić. I jakby to ino wolno było, a ten i ów taką próbę zrobił, toby zaraz się przekonał, ze choć jego babsztyl pieruna wart, to i inkse nie lepse. Bo to juz taka w człowieku natura, ze cy to basz, cy zimniaki to mu na chałupach lepiej smakują, jak u siebie, choćby były najlepiej omascone. Ale jak ich raz i drugi gdzieindziej popróbuje, to łacno się przekona, ze swoje, choćby przygrzewane, zawse lepse od cudzych nawet najświezsych.

Jakby kto nie wierzył, to mu powiem, ze na przykład taka Weronka Maciejowa wszyćkiem we wsi widzi się, ze to jest anioł prosto z nieba. I takby się zdawało, bo Weronka ani razu swojego Maćka palicą nie przejechała, ani razu go porządnie nie spsioczyła, ani mu nigdy marnego słowa nie pedziała. I la tego właśnie ludzie padają, ze nima to, jak Maćkowa baba. A Maciek temcasem chodzi i klnie na cem świat stoi i chętnieby kuzdemu Weronke podarował. Bo niech ino Maćcysko kiedy o pare minut później skąd przyjdzie, to Weronka zaraz nos o śtyry cale na dół spuści, ślipia się jej wodą zaciągną i bez pół roku słowa nie zagada. A niechby tak Maciek z którą zagadał, albo na nią popatrzył, to pewnikiem Weronka na cały rok w trupaby się przemieniła. I sam teraz chłopisko nie wie, co robić. Zeby ino tak wolno było, toby pewnikiem swojego aniołka na jaką targowicę wyprowadził i za byle co przehandlował. Bo Maciek juz ma taką naturę, ze wolałby z swoją się pohandrycyć, pasem ją przeciągnąć, albo i sam od niej co oberwać, po cemby mu wszyćko lepiej smakowało.

A natomiast taka Weronka byłaby la Kuby w sam raz. Kuba bowiem i sam do gadania nie skory i cudzego gadania nie lubi, więc milcenie Werunki nie drażniłoby go i wszyćko byłoby w porządku.

Mnie się zdaje, zeby to wtencas było dobrze na świecie i toby trzeba koniecnie zaprowadzić. Nie da się to jednak prędzej zrobić, póki ja nie zostanę posłem i w sejmie tego nie przeprowadzę. Nie trza jednak na to długo cekać, gdyz jak padają starzy ludzie, w jesieni będą wybory, to ci wszyscy, co se chcą baby odmienić, będą na mnie głosowali, a ja, jak się raz do Warsiawy dostanę, zrobie wszyćko, co będę chciał.



Płyną do mnie łany rzędem...

Płyną do mnie łany rzędem,
Fala złota, kołysząca,
Ozłaca je promienista
Kula złocistego słońca.
Kołyszą się fale żyta
Ciepłym wiatrem zbłękitniałym...
Ziemia bujna, zakwitniona,
Dźwiga owoc tak dojrzały.
Co tu kolorów grających,
Barwy, światła i harmonji!
Dusza tonie w szczerem złocie —
Rozpływa się w tej symfonji!...
Płyną łanów złote fale
Zabiorą mnie, chaty, drzewa —
Tylko burza się ukaże,
Która w ciszy gdzieś dojrzewa,
Pochłoną mnie fale żyta
W wietrze śmiałym, nieskończone!
Boże, ratuj życie moje,
Bo w tych falach tonę, tonę

Fr. Lipiński.

Wśród puszcz i stepów.

(Ciąg dalszy).

Cezar i Dik spięli konie ostrogami i jak wicher popędzili w pogoń za karoszem. Ben przez ciekawość, jak mówił sam do siebie pomknął także za nimi. Wkrótce zbliżyli się znacznie do pięknego konia.

Cezar całą uwagę skupił na karoszu, wzrok wytężył i śledził wszystkie jego ruchy. Koń pędził ciągle, jak szalony; kiedyniekiedy odwracał łeb i rżał z coraz to większą trwogą. Gdy Ben obaczył, że powodzenie łowów stawało się bardzo prawdopodobne, i jego nakoniec ogarnął zapał.



— Stanął dęba okręcił się na tylnych nogach.

— Możebyśmy się rozdzielili — zawołał — i natarli na niego z różnych stron.

— To byłoby doskonale — odrzekł Cezar.

— Wskażże nam, co mamy robić — mówił Dik.

— Czyżby Ben chciał mnie usłuchać? — szepnął murzyn.

— Ależ usłucham, usłucham! — wołał tamten z żywością — dowództwo do ciebie powinno należeć.

— Jeżeli tak — mówił Cezar, zawsze w pełnym galopie — to niechże Ben, który ma najlepszego wierzchowca, spróbuje karosza wyprzedzić i drogę mu zabiegnie. Dik niech dobrze uważa, czy na prawo czy na lewo się zwróci i przetnie mu znowu ucieczkę z boku. Ja tymczasem przygotuję lasso i zarzucę mu je na głowę.

— Wyborny pomysł! — wykrzyknął Ben — ale czyż ty potrafisz lasso zarzucić?

Już niech Ben o to się nie troszczy.

— Napród! — zawołał Ben i pomknął z kopyta, podczas gdy obaj towarzysze jego na chwilę powstrzymali swoje rumaki, dając im się trochę wysapać.

Ben doskonałym był jeźdźcem i miał w rzeczy samej najlepszego wierzchowca; zrównał się też wkrótce z uciekającym karoszem, wyprzedził go i zmusił do zboczenia z drogi. Ogier zarżał rozpaczliwie i zwrócił się na prawo.

— Teraz na mnie kolej! — zawołał Dik uszczęśliwiony i wypuścił konia tak gwałtownie, że o mało czapeczka nie spadła mu z głowy. Z łatwością zabiegł drogę karoszowi; ten oszalały znów w inną stronę się zwrócił, lecz tu Ben powtórnie zobaczył przed sobą.

Cezar tymczasem nie próżnował. Rozwinął długie lasso, jednym końcem silnie przytwierdzone do siodła, prawą ręką podniósł sznur z pętlą ponad głową i z błyskawiczną szybkością przyskoczył do karosza, którego dwaj bracia trzymali w szachu. Ten, oszalały na widok trzeciego napastnika, ogromnym susem rzucił się w bok, stanął dęba, okręcił się na tylnych nogach i byłby się niezawodnie wymknął z tej pułapki, gdyby Cezar opóźnił się o jedno mgnienie oka. Lecz murzyn korzystał z chwili, gdy zwierzę obok niego przemknąć się miało, wywinął pętlą w powietrzu i zarzucił ją z zadziwiającą zręcznością na szyję ogiera. Skoro tylko pętla dosięgła celu, Cezar spiął konia swego ostrogami i puścił się galopem w stronę przeciwną. Gwałtowny pęd nietylko zaciągnął pętlę, lecz nawet obalił pochwyconego karosza, który wlókł się nawpół uduszony po ziemi za swoim zwycięzcą. Ben i Dik przyskoczyli z okrzykami tryumfu.

Wszyscy trzej pozsiadali tymczasem z koni; Cezar zajął się włożeniem na dzikiego karosza uździenicy i siodła, a dwaj bracia trzymali w mierze lasso, ażeby ciągle tamowało oddech zwierzęcia, nie dusząc go jednakże.

— Puszczajcie! — zawołał wreszcie Cezar, gdy ukończył swoje zadanie. Zdjął pętlę z szyi konia i skręcił lasso w kilkoro, biorąc je teraz do ręki zamiast bata, — a był to bat nielada. Zaledwie ogier uczuł się oswobodzony z duszącej pętli, zerwał się z błyskawiczną szybkością na nogi, lecz Cezar niemniej był zwinny od niego i w tejże samej chwili siedział mu już na grzbiecie.

Koń stał przez czas jakiś nieruchomo, drżał cały; niezwykły ciężar, który czuł na sobie, widocznie dziwił go i przerażał. Wkrótce jednak pomiędzy jeźdźcem i wierzchowcem rozpoczęła się walka zawzięta. Dziki mustang pomknął naprzód, zatrzymał się nagle i stanął dęba; przez chwilę zdawało się, że się na wznak przewróci. To znów wsadził łeb pomiędzy przednie nogi, a tylnemi wierzgał szalenie. Klękał, kładł się na ziemi i próbował tarzać; łeb wykręcał, usiłując pochwycić jeźdźca, i znów zrywał się, skakał i szalał najokropniej. Nie zdołał jednak wysadzić z siodła jeźdźca, który zdawał się z niem zrośnięty.

Z godzinę mozolił się tak Cezar z dzikim karoszem, a Ben i Dik, siedząc na swoich koniach i trzeciego luzem prowadząc, nie oddalali się od niego ani na chwilę. Nareszcie mustang zaczął upadać na siłach; cały pianą okryty, nozdrzami, rozwartemi szeroko, chwytał gorączkowo powietrze i dziko toczył wokoło oczyma nabiegłymi krwią; czas jakiś jeszcze rzucał się wściekle, lecz widocznie był już pokonany.

— Sprawa skończona — rzekł Cezar, oddychając głęboko, bo i on był zmęczony nie na żarty. — Gdybym nie miał do czynienia z niezwykle silnym i dzielnym koniem, tobym się nie odważył ujeżdżać go w sposób tak gwałtowny. Inny nie byłby wytrzymał, ale to konik nielada, — będzie miał Dik znakomitego wierzchowca!

Gromadka łowców późnym wieczorem przybyła do obozu. Oprócz pięknego karosza zatrzymano jeszcze dwa najpiękniejsze mustangi; inne, jako niepotrzebne, wypuszczono na wolność. Wyprawa myśliwska Johsona powiodła się także, nie było więc już żadnego powodu odwlekać wyjazdu do koczowisk Pawnisów. Zaraz też dnia następnego karawana puściła się w drogę; na trzech świeżo złowionych koniach je-

chali Cezar i dwaj starsi, doświadczeni jeźdźcy; Ben i Dik wzięli po nich dobrze ujeżdżone konie.

21. Serce prawe.

Dla zrozumienia dalszych wypadków, musimy znowu cofnąć się wstecz o kilka tygodni.

W godzinach popołudniowych gorącego dnia letniego mała gromadka wędrowców w milczeniu i bez szelestu przesuwała się przez las. Składała się z trzech Indjan i dwóch białych, w zwykłym ubiorze osadników. Na twarzach wszystkich wyryty był głęboki smutek, a także wielkie znużenie.

— Nie, już dalej iść nie zdołam, musimy tu wypocząć nieco — wyrzekł starszy z dwóch białych i mówiąc to usiadł pod rozłożystym orzechem; młodszy towarzysz niebawem poszedł za jego przykładem. Trzej Indjanie, nie wymówiwszy ani jednego słowa, usiedli także w pewnem oddaleniu od białych. Wszyscy musieli być ogromnie znużeni, gdyż nie przerywając milczenia, rozciągnęli się na ziemi i jeden po drugim usnęli.

W pół godziny później na tejże samej drodze, którą przybyli ci wędrowcy, ukazał się mężczyzna atletycznej postaci, w stroju traperów, z ciężką strzelbą na plecach. Bystry wzrok jego dostrzegł już zdaleka śpiących pod drzewami. Zbliżył się i przystanął, nie zbudził ich jednak, lecz zdjąwszy powoli strzelbę z pleców, oparł ją o pień drzewa i stanął przy niej, poczem na tymże samym pniu wsparty, ręce na piersiach skrzyżował i spoglądał na uśpionych wędrowców.

— Hm — mruknął — śpią smacznie, niema co powiedzieć, sądzę jednak, że nie powinni zawiele czasu na to tracić w obecnych okolicznościach. Nie mieli pewnie zamiaru spać tak długo; trzeba ich zbudzić.

I w tejże chwili myśliwiec począł najdoskonalej naśladować mruczenie jaguara, na którego odgłos trzej Indjanie zerwali się nagle na równe nogi i pochwycili łuki. Szelest sprawiony przez nich przebudził także dwóch białych ludzi, którzy również wzięli strzelby do ręki i szybko powstali.

— Hug! — wykrzyknęli jednogłośnie Indjanie, gdy spostrzegli myśliwca; na twarzach ich pojawił się wyraz radosnego zdziwienia.

— Serce prawe! — zawołali obaj biali ludzie, dawni znajomi nasi, osadnik Wattson i syn jego Jan.

— Tak, tak, ja to jestem, panie Wattsonie — odpowiedział Serce prawe, gdyż on to był we własnej osobie — cieszę się bardzo z tego spotkania. Idę od wczoraj rana za śladami panów, natrafiwszy na nie przypadkiem. Musiałem też porządnie pośpieszać, aby za panami podążyć. Przykro mi tylko, że spotykamy się pośród smutnych okoliczności.

— Bóg doświadczył mię ciężko od ostatniego widzenia się naszego — odrzekł Wattson, ściskając serdecznie dłoń myśliwca, co też uczynił i syn jego.

— Nie rozpaczaj pan — mówił Serce prawe — wszystko jeszcze za łaską Bożą odmienić się może. Czy masz pan jaką pewną wiadomość o córce?

Wattson zaczął opowiadać od początku, jakim sposobem zapoznał się w lesie z Orłem czubatym i jego wojownikami, a następnie opowiedział znane nam szczegóły.

Serce prawe zwrócił się do Indjan, którzy nic a nic z tego opowiadania nie rozumieli. Mówił z nimi dość długo, ale tak cicho, że osadnik i syn jego zaledwie parę wyrazów bez związku dosłyszeli. Gdy skończył, Indjanie pożegnali go zarówno jak i obu Wattsonów i przyśpieszonym krokiem puścili się w dalszą drogę.

I zarzuciwszy strzelbę na plecy, poszedł w kierunku wprost przeciwnym tej drodze, którą odeszli Indjanie. Osadnik z synem pośpieszyli za nim.

Szli bez wytchnienia do późnej nocy.

Trzej wędrowcy przechodzili przez wąską kotlinę, z obu stron opasaną stromemi lecz niezbyt wysokiemi skałami. Myśliwiec spodziewał się pośród tych skał napotkać jaskinię, w którejby się mogli schronić od deszczu. Kotlina ta, niezbyt długa, nie miała drugiego wyjścia, a tam, gdzie się kończyła, przytykała do skalistej, prostopadłej prawie ściany. W tem miejscu, znacznie rozszerzonem, woda, nieustannie ze skał spływająca, wyżłobiła obszerne i głębokie jeziorko, oddzielone od prostopadłej ściany wąską ścieżyną. W miejscu, gdzie ta ścieżeczka najwięcej się zwężała, bystre oczy myśliwca wykryły czarną szczelinę w skale, prowadzącą do głębi jaskini.

— Mamy tu schronienie — mówił Serce prawe i wcisnął się w szczelinę, a odwracając się do towarzyszów, dodał: — Poczekajcie tu chwilkę, moi panowie, muszę wprzódy obejrzeć tę norę.

To rzekłszy, wydobył krzesiwo i zapalił długą gałąź smolną, ściętą po drodze; trzymając tę pochodnię w ręku, zapuścił się w głąb jaskini. Była tak nizka, że ledwie mógł się w niej posuwać naprzód w postawie stojącej.

— Obrzydła dziura — mówił, powróciwszy po dość długim przeciągu czasu. Chodźcie, panowie. Będzie nam twardo i niewygodnie, ale przynajmniej od ulewy się schronimy.

Obaj Wattsonowie poszli za nim. Ponieważ nie było czasu myśleć o urządzeniu jakiegokolwiek posłania, wędrowcy nasi, naprędce posiliwszy się podróżnymi zapasami, usiedli pod ścianą najsuchszą i oparli się o nią plecami, a pomimo tak niewygodnego położenia, usnęli wkrótce, gdyż nadzwyczajnie byli znużeni.

Około drugiej po północy Serce prawe pierwszy się przebudził; towarzysze jego spali obaj głęboko. Młody myśliwiec podniósł się cicho, i odszedłszy dalej nieco, ukląkł na ziemi, odmówił krótką lecz gorącą modlitwę i powstał znowu.

Powstawszy z klęczek, Serce prawe drgnął nagle i z widocznym niepokojem słuch wytężył. Osobliwsze i bardzo podejrzane głosy dochodziły z owego wąskiego przejścia, prowadzącego do dalszej części podziemia, której myśliwiec nie obejrzał z wieczora.

— Młode niedźwiadki — mruknął z cicha i zbliżywszy się natychmiast do śpiących towarzyszy, zbudził ich, poczem zapalił krzesiwem pozostały kawałek łuczywa.

— A to piękna rzecz! — zawołał osadnik, gdy myśliwiec wyjaśnił w kilku słowach, z jakiego powodu im smaczny sen przerwał — toż dopiero bylibyśmy w opałach, gdyby stare niedźwiedzie powróciły były w nocy do swej dziatwy. Zabierajmy się jaknajprędzej z manatkami, bo czuli ci rodzice niezawodnie wyszli na łowy; na szczęście dłużej trochę zabawili, ale przededniem tu będą i wątpię, aby nas gościnnie przyjęli w swojem mieszkaniu.

— Ja myślę, że to muszą być czarne niedźwiedzie — rzekł Jan.

— Według wszelkiego prawdopodobieństwa stare — odpowiedział Serce prawe, śpiesznie postępując ku wyjściu jaskini — nie mamy czasu do stracenia, bo stare muszą być niedaleko, — niedarmo malcy tak piszczą.

— To prawdziwa łaska Boża, żeśmy się z nimi nie spotkali — rzekł Jakób Wattson, pośpieszając za myśliwcem.

I miał słuszność zupełną. Niedźwiedź szary amerykański jest tak drapieżny i straszny, że obawiają się go więcej jeszcze, niż jaguara. Ma on siłę niesłychaną; największego żubra pokonywa z łatwością i wlecze nieraz daleko. Podczas gdy wszystkie niedźwiedzie innych gatunków lękają się człowieka, jeden tylko szary nie ma dlań najmniejszego poszanowania. Śmiało rzuca się na nieszczęśliwych wędrowców, których na swej drodze napotka, zadaje im potężnymi zębami i pazurami najokropniejsze rany i dusi ich w straszliwym uścisku. Sam jest przytem wytrzymały do najwyższego stopnia; śmiertelnie nawet raniony, jeszcze nie przestaje być groźnym. Lecz biada temu, kto lekko go tylko zrani: niedźwiedź wówczas wpada we wściekłość i niełatwo uchronić się przed jego zemstą. Nieraz zdarzyło się, iż dobę całą nie odstępował od drzewa, na które umknął myśliwiec niedość szczśliwy, aby zadać odrazu cios śmiertelny drapieżnemu zwierzęciu.

Wiedzieli o tem wszystkiem trzej nasi wędrowcy i nie dziw, że uchodzili z pośpiechem, nie mając najmniejszej ochoty spotkać się z szarymi niedźwiedziami, nietylko w jaskini, ale i w wąskiej kotlince. Nie uniknęli jednak tej przyjemności... Przebyli już większą część podziemnego korytarza, i byli tak blizko wyjścia, że wzrok ich rozpoznawał wpadające przez szczelinę promienie wczesnego porannego brzasku, gdy nagle spostrzegli ciemną jakąś postać u wejścia do podziemia.

— Otóż go mamy! i naprawdę szary niedźwiedź — szepnął stary Wattson przerażony.

— On sam — rzekł Serce prawe z najzupełniejszym pokojem. — A teraz śmiało, ktoś ustąpić musi — on albo my. Broń do ręki. Strzelaj pan pierwszy, panie Wattsonie; potem niech pan Jan wypali. Ja swoją kulkę zachowam na sam koniec, bo prawie pewny jestem, że ta czuła rodzicielska para, jeżeli nie idzie razem, to nie na długo się rozdzieliła z sobą.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Upały i burze.

Jak to przepowiedzieli meteorologowie, czerwiec rozpoczął się wielkimi upałami. Ma on być i w dalszym ciągu ciepły, a nawet upalny. Od zatoki Biskajskiej nadciągają chłodniejsze masy oceanicznego powietrza i posuwają się w kierunku wschodnim. Skutkiem tych prądów powietrznych możemy oczekiwać w najbliższym czasie szeregu gwałtownych burz. Może być, nim te słowa dojdą do rąk czytelników, okres burz u nas już minie, a może nas ominie. Z Francji i z południowych oraz zachodnich Niemiec nadeszły już w pierwszych dniach czerwca wiadomości o katastrofalnych wprost burzach. Na pograniczu niemiecko-holenderskiem w prowincji Geldern i częściowo w prowincjach hanowerskiej i oldenburskiej, szalał w ubiegły czwartek po południu orkan o rozmiarach niszczycielskiej siły i gwałtowności, niespotykanej w tych okolicach. Punktem wyjścia monstrualnego cyklonu, jakiego nie pamiętają najstarsi ludzie, było Almedo w Holandji. Huragan przeniósł się następnie na terytorjum niemieckie, pozostawiając za sobą spustoszenie i śmierć. W przeciągu kilku minut zmienił całe obszary w smutny obraz kompletnego zniszczenia. Zbiory w okolicach dotkniętych katastrofą są zupełnie zniszczone, osiedla ludzkie zdemolowane. Nawet szereg dwu i trzech piętrowych budynków rozpadł się w gruzy pod naporem orkanu.

Z miasta Lingen, liczącego 9.000 mieszkańców, donoszą, iż około godz. 5 po południu ściemniło się nagle i na południowym zachodzie ukazała się czarna chmura o kształcie olbrzymiego leja. Trąba powietrzna o szerokości pół kilometra, zbliżając się z szaloną szybkością, dosięgła po krótkim czasie miasto i w przeciągu kilku minut zdemolowała je zupełnie. 300 domów zostało uszkodzonych, wicher powyrywał drzewa, zwalił setki kominów. Pod naporem cyklonu w niektórych kamienicach pootwierały się głębokie szczeliny. Na placu targowym piętrzą się chaotyczne stosy cegieł, belek, warzyw, połamanych straganów, powyrywanych z zawiasami okien. Pewna fabryka likierów zotała zupełnie zniszczona do fundamentów. Las w pobliżu miasta został wywrócony. Dęby przydrożne o metrowej średnicy powyrywała burza z korzeniami, rzucając je na odległość kilkuset metrów. Zerwany dach z pewnej oberży zaniósł wicher na odległość pół kilometra. O sile orkanu daje wyobrażenie fakt, że wicher porwał stojący na ulicy samochód i rzucił go na oddaloną o 10 metrów wystawę sklepową. Belki powyrywane z dachów unosił wicher w powietrzu, jak zapałki. Wagony kolejowe zostały zepchnięte z szyn, bądź też przetoczone o kilka kilometrów. Wieś Esche, składająca się z 10 domostw, zniknęła z powierzchni ziemi. Silnie ucierpiała również wieś Schöpsdorf, skąd 28 mieszkańców przewieziono do szpitala. W Lingen zabite zostały trzy osoby. Liczba ciężko rannych wynosi 25 osób. W Oldenburgu spustoszone zostały w straszny sposób miejscowości Lindner, Ane, Halthaus. 38 domostw chłopskich zostało zniszczonych.

Szkody wyrządzone przez katastrofalny orkan w Holandji, w prownicjach Oberyssel i Trente wyniosą prawdopodobnie 25—30 miljonów guldenów. Liczba zabitych wynosi 50 osób. Rannych 100.

Również i bliżej nas burze szalały z całą siłą. Oto, jak donoszą z Gdańska, przeszła w ubiegłą środę burza nad Bałtykiem, która pociągnęła za sobą katastrofę statku niemieckiego „Gudrum“, idącego z Gdańska do Danji z ładunkiem węgla. Na wysokości Helu uderzył piorun w słup masztowy, powodując pożar. Słup wywrócił się na statek, przez co pożar rozszerzył się. W dalszym ciągu nastąpiła eksplozja kotła, poczem statek zanurzył się pod wodę. Załogę uratowały będące w sąsiedztwie łodzie rybackie.

Burza nie oszczędziła i Polski. Z wszystkich stron Pomorza nadchodzą wiadomości o rozmiarach klęski, jaką wyrządziła burza. W Kosztowie, powiecie wyżyskim, piorun uderzył w stodołę gospodarza Winkego, wywołując pożar. Pastwą płomieni padły wszystkie zabudowania. Winke poniósł straty, sięgające 100 tysięcy zł. W tym samym czasie nad Czarnkowem przeszła olbrzymia burza, połączona z nawałnicą gradową. Grad, sięgający rozmiarów jaja dużego, wyrządził katastrofalne szkody w Czarnkowie i sąsiednich okolicach, niszcząc w niektórych wioskach zboża i zasiewy. Siła nawałnicy była tak wielka, że grad dziurawił dachy w mieście i niszczył przewody elektryczne. Szkody są olbrzymie.

Już nie burza, ale ogromny upał pozbawił życia 162 świń. W nocy z środy na czwartek naszedł z Poznania do Katowic pociąg towarowy, wiozący 1.000 sztuk świń i 100 sztuk bydła, sprowadzonych przez katowickich hurtowników. Już w Tarnowskich Górach z powodu gorąca padło 100 sztuk, a w Katowicach musiano dobić 62 sztuki. Szkoda wynosi 150 tysięcy zł. Hurtownicy katowiccy pamiętają podobny fakt, jaki się zdarzył przed kilkunastu laty w czasie transportu nierogacizny z Berlina do Katowic.

FR. LIPIŃSKI.

Wawrzek Dybczak.

(Nowela). (Ciąg dalszy).

— E, co będziemy gadać o tem — zobaczę tego człowieka, to sobie z nim pomówię. Ostatnie słowa ojca, wypowiedziane z odcieniem zuchwałości — wzburzyły Hankę gorąco. Była zła. Jeszcze nigdy nie przemawiał ojciec do niej w takim tonie. Serdeczność zniknęła z ich mowy i ciepło. I matka była inna niż zwykle. Lękała ją myśl ta, że gdy się zjawi w ich domu, mogą go odprawić z niczem. Nie mogłaby przeżyć tego — ale coby on, ambitny Wawrzek zrobił. — Byłoby to dla niego policzkiem.

Zabrała się leniwie do szycia. Ojciec wyjechał w pole końmi zwozić zboże, a matka krzątała się po stancji. Pokój napełnił się tęsknotą oczekiwania, w którem paliło się żarem nostalgicznym serce Hanki, kochające nad życie szlachetnego i urodziwego Wawrzka.

SCENA III.

Wawrzek był dziwnie zaniepokojony i pełen niezdecydowania. Miał tyle myśli złych w głowie, a gdy przypomniał sobie o pójściu do rodziców Hanki, wahał się. Nie był pewny, czy zostanie przyjęty. Rodziców Hanki zna z widzenia, słyszał o ojcu jej, jako o dumnym i zarozumiałym mieszczuchu, pewnym siebie, i szczycącym się fortuną. Matka, jak matka — zawsze poczciwa i roztacza urok nieba. Jeśli mu się nie powiedzie, to tylko z winy ojca. W matkę wierzył. Było nie było — wszystko jedno, — pomyślał. Raz kozie śmierć. Ona — lub żadna. Obmyślał sobie w duchu formułę oświadczyn. Umiał ją na pamięć. Przygotowywał się na różne odpowiedzi: pewne, cięte, mądre, aby się tylko nie dać zbić z tropu i, przedstawić w najlepszem świetle. Myślał o Hance. Widział ją oczyma duszy, jak czeka na jego przybycie i troska się o to, czy przyjdzie. Byli jednej myśli.

Rzeczywiście Hanka czekała. Koło godziny siódmej, (umówionej), gdy gwar dnia zciszał się, uspakajał nieco — a noc miała nadejść — jak zawsze, Wawrzek szedł w stronę domostwa Hanki.

Ojciec znalazł się w domu. Hanka co chwilę patrzała w okno, kiedy się ukaże Wawrzek. Nagle zabiło jej serce. To — on. Lecz jaki wystrojony. Zmierza wprost do domu. Puka... Starzy zajęci rozmową, nie słyszeli cichego pukania.

— Proszę — odezwała się Hanka.

Otworzyły się szeroko drzwi i w progu ukazał się Wawrzek. Rodzice spojrzeli z zaciekawieniem na niego.

— Dobry wieczór państwu!

— Dobry wieczór! — odpowiedzieli wszyscy.

— To pan Wawrzyniec Dybczak — wyrzekła Hanka przedstawiając go rodzicom.

— A, bardzo mi miło — odezwał się ojciec. Matka od wejścia poczęła śledzić wszystkie poruszenia się Wawrzka.

— Proszę, niech pan siada — wyrzekła.

— Dziękuję. Zrobiłem państwu niespodziankę — czy nie tak?

— A, gdzie tam! Miło nam pana poznać.

— Co tam słychać w świecie? zapytał ojciec.

— Nie czytam gazet, lubię książki.

— To pan, zdaje się, uczony...

— Nie uczony, ale lubię książki.

— Pan tu, w naszem mieście? — wtrąciła matka.

— Tak...

— A gdzie pan pracuje? zapytał ojciec.

— Przy Straży ogniowej.

— W biurze?

— Nie, jako starszy strażak.

Ojciec słysząc to, nieufnie spojrzał na Wawrzka. Strażak prosty, a wystrojony ponad stan. Zaprzestał z nim rozmowy na chwilę, i zaczął krytycznie patrzeć na niego, gdyż mu się nie podobał od pierwszego wejrzenia.

— A, czy powiększyła się ta wasza straż — zapytała matka.

— Nie — ale jesteśmy świetnie zorganizowani w razie ognia.

— Kiedy będziecie mieli ćwiczenia? zagadnęła Hanka.

— Tej niedzieli będzie parada, co się zwie. Zjeżdża okręgowy inspektor straży. Chłopcy czyszczą sikawki, myją wozy, sprzątają, zamiatają podwórze, robią nowe drabiny...

— E, to dobrze będzie. Uratujecie coś w czasie ognia. Ale broń Boże od ognia..

— To niebezpieczna służba... wyrzekła z bojaźnią matka.

— Ale piękna — odrzekł Wawrzek z dumą.

— Wyratują po niewczasie — kiedy się wszystko spali — wyrzekł z ironją ojciec.

— Jeśli się późno straż zawezwie...

— Straż przyjeżdża wtedy, kiedy już ogień się ugasi.

Hanka spojrzała na ojca znacząco. Ojciec miał tego wieczoru „wisielczy humor", i chciał komuś dokuczyć. Chciał kłami ironji kąsać Dybczaka — lecz nie wypadało mu tego robić. Zaświeża była to ofiara.

Milczenie zawisło między nimi. Zjawił się w gościnę wieczór. Na niebie ukazywały się pierwsze gwiazdy. Z ogrodu płynął przez otwarte okno zapach rezedy.

— Ciepło dzisiaj i pięknie — wyrzekł po chwili Wawrzek.

— O — tak, śliczna pogoda. Zbiory będą piękne — odparła Hanka.

— Państwo dużo zasiali żyta w polu?

— Już w stodole — odpowiedział ojciec.

— A, to pięknie...

Wawrzek czekał na odpowiednią chwilę. Matka badawczo patrzała na niego, ojciec tak samo, a Hanka z nim porozumiewała się oczami.

Zebrał się na odwagę. Nie miał już o czem mówić.

— Proszę państwa — odezwał się poważnie — wybaczcie mi, że przystępuję prosto do swej sprawy. Przyszedłem prosić o rękę córki waszej; pani Hanki. Kocham ją bardzo i pragnę się z nią ożenić.

Hanka spojrzała na rodziców. Na twarzy wystąpiły jej rumieńce. Serce zabiło silniej. Wawrzek podszedł do matki i ucałował jej rękę, a przed ojcem lekko się ukłonił. Ojciec, zaskoczony tem nagłem oświadczeniem się, nie wiedział jak odpowiedzieć. Matka milczała, patrząc to na męża, to na Hankę.

— Dobrze — namyślę się. Tylko straż mi się nie podoba. Możeby pan wystąpił z tej straży— życie takie niepewne... Tu z ogniem ma się do czynienia.

— Co tam ogień! przecież uczą nas, abyśmy się umieli obchodzić z ogniem — odrzekł Wawrzek.

— A, czy ty tego pana kochasz? — zapytał Hanki.

— Tak...

— Tylko z tem strażactwem musi sobie pan dać spokój. Dam panu córkę, ale jak pan wystąpi ze straży i wstąpi do lepszej służby, lub gdzieindziej.

— Przecież straż służy dla dobra obywateli, dla pięknego celu — bronił się Wawrzek.

(Ciąg dalszy nastąpi).



Poradnik gospodarczy.

Owadów na świecie mamy mnóstwo, jedne są bardzo pożyteczne, część jednak jest zwłaszcza dla gospodarzy szkodliwa.

Jednym z największych szkodników, a dobrze nam znanym jest chrabąszcz majowy. Ciało jego składa się z trzech części, głowy, tułowia i odwłoku. Na głowie ma różki, które stanowią narząd czucia, po bokach głowy ma oczy. Na tułowiu ma dwie pary skrzydeł, zewnętrzne skórowate, twarde, wewnętrzne cienkie błoniaste. Nóg ma trzy pary, złożonych ze stanów zakończonych pazurkami. Odwłok złożony z pierścieni, zaś z boku odwłoka znajdują się małe szparki, któremi wychodzi powietrze. Jest on twardy od strony grzbietu, wewnątrz jednak nie posiada kości, twardość pochodzi od pokrywy skrzydeł.

Chrabąszcz pojawia się przy końcu kwietnia lub w maju. Samice składają do ziemi jajeczka, gdzie wylęgają się gąsienice zwane pędrakami. Te żyją trzy lata w ziemi, żywiąc się korzonkami roślin, czem wyrządzają duże szkody. Zwyczajnie przy końcu róku trzeciego, przepoczwarzają się i na wiosnę czwartego roku wyłażą z ziemi jako owad doskonały. Chrabąszcze żywią się liśćmi z drzew, a że w tym czasie, liście zaczynają dopiero wyrastać z drzewa, niszczą młode pączki przez co znów wyrządzają ogromne szkody, należy je więc tępić. W tym celu rano zwłaszcza należy strząsać je z drzew, zbierać, zabijać lub dawać na pokarm dla kur, kaczek, które je bardzo chętnie zjadają.

Drugim wilkim szkodnikiem jest motyl bielinek kapustnik, zwłaszcza jego zielona gąsienica, czyli liszka, objada masami liście kapusty i potrafi jej zniszczyć całe łany. Bielinek to motyl o skrzydłach barwy białej z kilku czarnemi plamami. Zjawia się na wiosnę i w lecie. Samica siada na liściach kapusty, lub innych jarzynach i znosi drobne żółte jajeczka, z których wykłuwają się gąsienice. Te gdy mają zamienić się na poczwarki włażą na płoty, drzewa, ściany, okna, a nawet do mieszkań ludzkich i tu zaczepione nieruchomo pozostają do lata, aby wylecieć jako doskonały motyl.

Często zwłaszcza na ziemniakach pojawia się nocny duży motyl zwany trupią główką. Jest on do 15 cm. długi, skrzydła przednie ma ciemno brunatne, płowo-marmurkowe, tylne żółte z dwoma czarnymi paskami, na tułowiu plamę żółtawą, podobną do czaszki ludzkiej i stąd jego nazwa „trupiejgłówki". Lata tylko wieczorem. Jego gąsienica duża zielona prążkowana, żyje przeważnie na ziemniakach i tu wyrządza duże szkody. Często trupią główkę można spotkać w ulu opitą miodem, gdzie dostaje się podstępem przez straże pszczół, aby pokosztować słodkiego miodu, nie dbając iż zachciankę swoją często przypłaca życiem.

Wielkie szkody, zwłaszcza młodym warzywom w ogrodzie wyrządza pchełka ziemna i inne drobne gąsieniczki i liszki.

Często niszczą one całe grzędy doszczętnie, rozrastają się wprost fantastycznie.

Największym jednak szkodnikiem jest turkuć podjadek, zwany niedźwiadkiem. Podjada on jak nazwa jego wskazuje, korzenie roślin i niszczy doszczętnie nawet jedna rodzina znaczne obszary. Żyje w ziemi, gdzie przednimi nóżkami wygrzebuje sobie drogi, rodzaj kurytarzy. Nóżki więc jego przednie mają wygląd łopat. Jajka składa w ziemi z których lęgną się dalsze szkodniki. Po stwierdzeniu jego pobytu na polu, należy zadać sobie pracy, aby go wyszukać i przez zabicie i zniszczenie jajeczek raz na zawsze rośliny od niego uwolnić. W pracy nad tępieniem tego szkodnika dopomaga nam wytrwale kret, dla którego turkuć jest wielkim przysmakiem. W ogrodach owocowych wielkie szkody wyrządzają liszki różnych motyli i ciem, które często masami objadają liście i pączki drzew owocowych. Również niebezpiecznymi niszczycielami są chrząszczyki zwane ryjkowcami z pośród których kwieciak jabłkowiec wyrządza duże szkody. Składa on jajeczka w pączki kwiatowe przed rozwinięciem, z których wykłuwają się gąsieniczki i zjadają kwiat nim ten się rozwinie. Niektóre składają jajeczka w zielony zawiązek owocu. Owoc rośnie i dojrzewa, a w nim rozwija się gąsienica i w ten sposób mamy owoce robaczliwe.

Wiele jeszcze innych szkodliwych owadów znajdujemy u nas, a walka z nimi trudna i mozolna, i nie udawałaby nam się, gdybyśmy nie mieli sprzymierzeńców, którzy tępią je całymi masami, czem oddają człowiekowi wprost kolosalne i nieocenione usługi.

Jan Matysik.

Wybuch prochowni w Witkowicach.

W pierwszy dzień Zielonych Świątek nawiedziła Kraków i jego okolice bardzo przykra w skutkach katastrofa. A mianowicie był nią wybuch wielkiego magazynu amunicji i prochu, znajdującego się we wsi Witkowice, położonej o 5 kilometrów od Krakowa.

Wybuch nastąpił po godzinie 10 zrana. Straszliwy huk rozdarł powietrze, budząc przerażenie w całem mieście. Początkowo nie wiedziano, co się stało. Ludzie pogromadzeni w kościołach zaczęli się tłoczyć ku wyjściom, ci, którzy zostali w domach, wybiegali na ulice. Dopiero po niejakim czasie dowiedziano się o miejscu wybuchu. Natychmiast wyruszyły do Witkowic Straż pożarna i Pogotowie ratunkowe. Po drodze od Krakowa do Witkowic wszędzie widać ślady ogromnego spustoszenia. Niema jednego budynku nieuszkodzonego. Dachy pozrywane, gdzieniegdzie mury zwalone. Chaty drewniane poniszczone, okna i drzwi w nieprawdopodobny sposób pokręcone. Przerażona ludność wraz z całym dobytkiem wyniosła się na pola, obawiając się dalszych wybuchów. A tymczasem w miejscu, gdzie była prochownia wystrzelały w niebo olbrzymie słupy ognia i dymu, a od czasu do czasu dawała się słyszeć silniejsza lub słabsza detonacja dalszych wybuchów.

Dzień grozy i przerażenia, prawdziwe piekło na ziemi. A powiększa je jeszcze płacz poranionych dzieci i szloch matek i ojców. Bezpośrednio po wybuchu można było widzieć w pobliżu miejsca katastrofy grupki ludzi pokrwawionych i osmolonych od dymu. Najwięcej pomiędzy nimi dzieci z tamtejszego zakładu dla chorych na egipskie zapalenie ócz. Jak obliczają, zostało rannych z pośród tych nieszczęśliwych istot około 80 dzieci. Dziecięta doznały pokaleczenia twarzy szkłem i spadającemi dachówkami. Jest też wiele i starszych ofiar. Liczba wszystkich

razem dojdzie zapewne do pięciu setek, gdyż nie wszyscy prosili o pomoc pełniących służbę lekarzy, ale udawali się niektórzy o poradę i do lekarzy prywatnych. A tych samych, których opatrzyli lekarze Pogotowia ratunkowego i w szpitalach, naliczono 486

Jak narazie stwierdzić zdołano, życiem przepłaciło ową katastrofę dwóch ludzi, a mianowicie jeden z żołnierzy, którzy pilnowali magazynów i jeden jakiś przechodzień cywilny. Natomiast kilku innych żołnierzy odniosło rany, a trzech tylko wyszło zupełnie bez szwanku. Komendant warty został ciężko ranny. Komendant ten, kapral Nierząd, zachował się podczas wybuchu wprost bohatersko. Oto kiedy nastąpiła eksplozja i gdy reszta żołnierzy wybiegła na wolne powietrze, ten chwycił za słuchawkę telefoniczną, chcąc zaalarmować władze o wybuchu. W tym momencie odłamki blachy ugodziły go, kalecząc mu całą twarz i uszkadzając ciężko oba oczy. Mimo to, kiedy został wezwany przez dowódcę pułku do opuszczenia posterunku, wytrwał do końca, oświadczając, że zluzowany może być tak, jak nakazuje mu regulamin.

I w Krakowie ucierpiało wiele budynków bardzo poważnie. W kościele N. Marji Panny szalony napór powietrza wytłoczył niemal wszystkie szyby w witrażach Matki Boskiej Różańcowej. I w innych kościołach szyby, szczególniej zwrócone ku północy, uległy podobnemu losowi. Padły ofiarą wybuchu wielkie szyby wystawowe w składzie lamp Ditmara w Rynku głównym, w cukierni Legjonów, w kawiarni Esplanada, w składzie mebli Rajala, na rogu ulic Wiślnej i św. Anny. W Bibljotece Jagiellońskiej w jednem z okien, osłoniętem z zewnątrz kratą żelazną, siła wybuchu wytłoczyła szyby w witrażu, pogiąwszy otaczający je ołów.

Przy niektórych ulicach, zwłaszcza w północnej stronie miasta niemal wszystkie szyby powypadały, zaścielając gęsto odłamkami chodniki i jezdnie uliczne. A nawet dalsze ulice, jak w Podgórzu, nie pozostały nienaruszone. Niektóre dachy są jakby oskalpowane z dachówki.

Władze zajęły się natychmiast spisywaniem olbrzymich szkód, jakie katastrofa spowodowała i rząd niezawodnie udzieli poszkodowanym odpowiedniego wynagrodzenia za szkody.

Przyczyną wybuchu było zapewne rozkładanie się prochu wskutek gorąca, przez które proch ten sam się zapalił i spowodował takie nieszczęście.

Jak się ostatecznie okazuje, od wybuchu zginął tylko jeden człowiek, mianowicie żołnierz pełniący wartę przy magazynie, kanonier Wawro. W czasie wybuchu zasypały go gruzy i dotąd nie odszukano jeszcze jego zwłok.

Z reszty warty bohaterski kapral Nierząd, jest ciężko ranny w głowę, twarz i oczy. Nierząd jest Górnoślązakiem, liczy lat 23. Obecnie znajduje się w wojskowym szpitalu okręgowym przy ul. Wrocławskiej. Z reszty warty jest ciężko ranny kanonier Liber i lekko kanonier Wolny. Spisy rannych opatrzonych w szpitalach i na pogotowiu ratunkowem wykazują przeważnie lżejsze rany. Z pośród ciężko rannych opatrzono dotąd na oddziele chirurgicznym szpitala św. Łazarza 8 osób, a na pogotowiu 3 osoby. Wśród dzieci z zakładów leczniczych w Witkowicach i Prądniku są na ogół lżejsze zranienia, zaznaczyć należy, że do wtorku nie odnaleziono jeszcze 22 dzieci, które spłoszone wybuchem rozbiegły się po wsiach i być może znajdują się pod opieką miejscowej ludności.

KRONIKA.

Zaćmienie słońca w czerwcu. W dniu 29 czerwca nawiedzi świat zaćmienie słoneczne, które będzie widzialne również w Europie i stanowić będzie najbardziej godne uwagi astronomiczne wydarzenie bieżącego roku. Księżyc we wczesnych godzinach porannych przesunie się od strony prawej przez tarczę słoneczną, przyczem w niektórych krajach, jak naprzykład w Niemczech, zaćmienie słońca będzie częściowem, podczas gdy na wyspach brytyjskich na Morzu Północnem i w całej Skandynawji zaćmienie słońca będzie zupełne. Zaćmienie słońca poprzedzi o 14 dni niewidzialne dla nas w tym wypadku zaćmienie księżyca.

Tragiczny wypadek pod Iwoniczem. Z Iwonicza donoszą: Przed kilku dniami w pobliżu Iwonicza zdarzył się tragiczny wypadek, który do tej chwili spowodował śmierć dwojga dzieci. Oto z Klimkówki jechał wóz zaprzężony w parę koni, wioząc kilkanaście dzieci w wieku do lat 10. Koło Iwonicza nadjechało z przeciwnej strony auto. Szofer, pomimo że widział przestraszone konie i słyszał okrzyki woźnicy i dzieci, wołających, aby auto zatrzymać, jechał dalej. Spłoszone konie skoczyły z wozem do rowu, pozostawiając połowę wozu w rowie, z drugą zaś połową, w której znajdowało się siedmioro dzieci, pomknęły w szalonym pędzie, zaczepiając o przydrożne słupy, skutkiem czego dzieci powypadały. Przybyli na miejsce strasznego wypadku mieszkańcy Iwonicza zatrzymali szofera i udzielili pomocy ciężko pokaleczonym dzieciom, które natychmiast odwieziono do szpitala w Krośnie. Dwie ofiary wypadku zmarły wkrótce w szpitalu, dwoje dzieci walczy ze śmiercią. Z szoferem narażającym tak lekkomyślnie życie ludzkie na szwank, policja spisała protokół.

Bomba przed zaręczynami. W Rozhurczu koło Stryja miały się odbyć zaręczyny piękności wiejskiej Anny Stasienko z Iwanem Wiżniukiem. Piękna Anna miała jednak gorącego wielbiciela w osobie Michała Tysowskiego, który ją prześladował swoją miłością. Szanse miłosne Wiżniuka przeważyły, gdyż majątek jego był znacznie większy, niż majątek Tysowskiego. Onegdaj miały się odbyć zaręczyny Anny z Wiżniukiem, przyczem stosownie do zwyczaju, przyjętego w Rozhurczach, rozpocząć się miały o godzinie 12-tej w nocy. Tuż przed rozpoczęciem uroczystości obecni goście w mieszkaniu Stasienków usłyszeli ogromny huk. W oknach ukazały się płomienie, a szyby z okien wypadły. Gości ogarnął paniczny strach. Posterunkowy Sorek wybiegłszy na dwór, spostrzegł sylwetkę uciekającego osobnika. Policjant rzucił się za nim w pogoń, a nawet wystrzelił, jednakże z powodu ciemności nie trafił. O czyn ten podejrzany jest odpalony konkurent Tysowski, gdyż jeszcze w dniu zaręczyn starał się wpłynąć na narzeczoną, by nie zaręczała się z Wiżniukiem.

Zamordowanie posła rosyjskiego. We wtorek o 9'50 rano, gdy poseł rosyjski Wojkow przybył na dworzec kolejowy, zbliżył się do niego nagle młody człowiek i kilkoma strzałami zranił go ciężko. Wojkow odwieziony do szpitala zmarł po trzech kwadransach. Zabójcą jest student rosyjski Kowerda.

Olbrzymi łup bandytów. W ubiegły czwartek w nocy dokonano zuchwałego napadu rabunkowego na kasę kolejową w Skalmierzycach. Zuchwali sprawcy skradli 100 tysięcy złotych. Natychmiast zarządzono pościg, w wyniku którego ujęto jednego ze sprawców, a za pozostałymi pościg trwa w dalszym ciągu.

Obrażony nieboszczyk. W redakcji jednego z pism żydowskich pod tytułem „Litterarische Blätter“

wychodzącego w Warszawie zdarzył się charakterystyczny wypadek. Szymon Choročczyk, wnuk cadyka z Góry Kalwarji, napisał niedawno powieść żargonową p. t. „Bagno". Powieść ta spotkała się z bardzo ostrą krytyką na łamach wspomnianego czasopisma. Dotknięty do żywego tą krytyką, Choročczyk udał się do redakcji i czynił wyrzuty redaktorowi za umieszczenie niesprawiedliwej, zdaniem jego recenzji, a w pewnym momencie wyjął nagle z kieszeni buteleczkę, i, zanim zdołano mu przeszkodzić, wychylił ją do dna i padł na ziemię. Przerażony tym nieoczekiwanym faktem redaktor zawezwał do pokoju redakcyjnego dozorcę i zapytał go: „Jak sądzi, czy to trup, czy jeszcze żywy?" Dozorca odpowiedział na to: „Może trup, a może udaje". Wtedy Choročczyk zawołał: „Pan się licz ze słowami i proszę mi tu zawołać pogotowie ratunkowe". Oczywiście życzeniu jego uczyniono zadość. Na Pogotowiu stwierdzono, że nie miało tu miejsca zupełnie otrucie, ale była tylko symulacja.

Ohydne morderstwo. Z Bydgoszczy donoszą: Widownią ohydnego mordu był onegdaj leżący na granicy polsko-niemieckiej Jaromierz. 19-letni rolnik nazwiskiem Poniedziałek skazany swego czasu za kradzież na trzy miesiące więzienia, ukrywał się od dłuższego czasu przed poszukującemi go władzami policyjnemi. Ojczym Poniedziałka, 82-letni Stahl, któremu doniesiono, iż pasierb ukrywa się w jego stajni, udał się tam, by „ptaszka" wygnać, tembardziej, iż podejrzewał go o dokonanie u niego szeregu kradzieży. W chwili, gdy Stahl widłami natrafił na ukrytego w słomie Poniedziałka, ten rzuciwszy się na ojczyma, począł go dusić, poczem omdlałemu rozbił kamieniem czaszkę. Po dokonaniu ohydnego mordu Poniedziałek uciekł przez granicę do Niemiec. Tam jednak policja niemiecka schwytała go i wydała władzom polskim w Zbąszyniu. Mordercę osadzono w więzieniu.

Wystawa ostrobramska. Z Wilna donoszą: Komitet uroczystości koronacji obrazu Matki Boskiej Ostrobramskiej, wyłonił sekcję organizacji wystawy ostrobramskiej, która obejmie bibljografię dotyczącą obrazu, wszelkiego rodzaju pamiątki, związane z kultem i historją obrazu, stare sztychy, malowidła i t. p. Na czele komitetu wystawowego stanął dyrektor bibljoteki uniwersyteckiej Dr Rydel. Ludność polska, zamieszkała po stronie litewskiej, rozgoryczona jest zarządzeniem władz litewskich, nie pozwalającem na organizowanie pielgrzymek na uroczystości koronacyjne do Wilna. Władze litewskie ogłosiły, że kto weźmie udział w uroczystościach wileńskich, nie będzie miał prawa powrotu do Litwy.

Nowy zakład kąpielowy. W tych dniach ukończono budowę pierwszego morskiego zakładu kąpielowego w miejscowości Halerowo nad morzem polskiem. Zakład będzie czynny i w zimie, gdyż posiada urządzenia i na kąpiele gorące. Na czas sezonu uruchomiony został przystanek kolejowy Halerowo, na linji Puck-Hel.

Pożar teatru w Pradze. W teatrze „Comoedia" w Pradze mieszczącym się w budynku „Lucena", wybuchł pożar, prawdopodobnie rozmyślnie wzniecony, pożar, który zniszczył doszczętnie scenę, widownię i galerję. Wielu strażaków uległo zatruciu dymem w czasie akcji ratunkowej. Pożar wybuchł na pół godziny przed rozpoczęciem przedstawienia, czemu zawdzięczać należy, że nie było żadnych ofiar w ludziach. Pożar w czasie przedstawienia spowodowałby nieobliczalną w skutkach katastrofę, ponieważ wyjścia w teatrze są bardzo wadliwie rozłożone.

Przeżycia miłosne młodej Turczynki. W Turcji, w okolicach Balilussar, mieszkała Ferideh, najpiękniejsza dziewczyna w całej okolicy; nic też dziwnego, że była ona przedmiotem podziwu i uwielbiania całej młodzieży. Można też sobie wyobrazić oburzenie tej młodzieży, gdy dowiedziano się, iż ojciec postanowił ją wydać za bogatego coprawda, lecz obrzydliwego i starego kupca. Postanowiono okrutnego ojca zgładzić ze świata a sidła były zastawione tak sprytnie, że tylko przypadkiem udało mu się wyjść cało. Tymczasem odbył się ślub pięknej Ferideh, zresztą nie bez przygód, bo doprowadzona do wściekłości młódź pana „młodego" powitała wystrzałami co go tak wystraszyło, że poprosił o asystę silnego oddziału obrońców i policji. Biedna piękność po ślubie przeżywać zaczęła piekło na ziemi, szczególnie, że zazdrosny mąż więził ją stale i nie szczędził razów przy lada sposobności. Powoli wszyscy o niej zaczęli zapominać, ale nie przebolał jej straty przyjaciel z dzieciństwa, Czekib. Aby znajdować się blisko ukochanej, przeniósł się on do jej wioski i tyle czasu błagał ją listami, że zgodziła się wkońcu spotkać z nim w lesie w umówionem miejscu. Te spotkania zaczęły się powtarzać coraz częściej, stały się też wkrótce jedyną pociechą młodej mężatki. Pod ich wpływem zmieniła się ona bardzo co skłoniło męża do tego, by kazać ją obserwować. Zrobiwszy to odkrycie, mąż Ferideh udał się do teścia i wyjawił mu wszystko. Stary ojciec, czując się tem bardzo dotknięty, postanowił sam ukarać córkę. W tym celu nocą przy pomocy zięcia związał ją, wyprowadził do lasu i powiesił na dębie, pod którym odbywały się spotkania kobiety z przyjacielem z dzieciństwa.

Tygrys na okręcie. Okrętem „Marko" przewożono niedawno kilka tygrysów, przeznaczonych do menażerji. Jeden tygrys wyrwał się z klatki, napadł na jednego z marynarzy i zagryzł go na śmierć.



Szybka pomoc, jaką dali przybyli marynarze, nie zdołała ocalić biednego chłopca. Obrazek nasz przedstawia chwilę, gdy tygrys zagryza owego marynarza.

Człowiek kameleon. Lekarze londyńscy łamią sobie od dłuższego czasu głowę nad szczególnym wypadkiem, który wygląda raczej na wytwór fantazji, niż na zdarzenie prawdziwe. Ponieważ jednak zajmują się sprawą dwa poważne miesięczniki lekarskie, stąd nie ulega wątpliwości, że zagadnienie jest poważne. Oto w jednym z londyńskich szpitali znajduje się pod obserwacją całego sztabu lekarzy pewien marynarz holenderski. którego skóra przybiera dwa razy dziennie inne zabarwienie. W pewnym określonym czasie poczyna skóra czernieć, staje się ciemno-brunatna, a wreszcie przechodzi w ciemno-atramentową, tak, że majtek wygląda wtenczas w zupełności jak murzyn. Stan ten trwa jednak tylko kilka godzin i potem marynarz bieleje stopniowo, aż wreszcie ma skórę znowu zupełnie białą,

jak normalny Europejczyk. W świecie zwierzęcym zachodzą coprawda wypadki zmiany koloru skóry i najbardziej znanym przykładem jest w tym względzie kameleon. U kameleona zbadano przyczynę zmiany koloru, którą jest własność komórek skórnych. Czyżby majtek w szpitalu londyńskim posiadał również tego rodzaju komórki? Lekarze nie umieją jeszcze wypadku tego objaśnić. Wiadomo tylko, że jest to już drugi podobny wypadek. Zauważono podobną perjodyczną zmianę koloru u pewnego Szkota, który w roku 1913 powrócił z Transwalu, gdzie bawił wiele lat. Ta dziwna zamiana koloru skóry nie jest, jak się zdaje, chorobą, gdyż zarówno Holender, jak i w swoim czasie Szkot, czują się doskonale, tem więcej, że klinika płaci mu grube pieniądze za to, że pozwala się lekarzom badać.

Czy wolno całować? Kilka dni temu sąd w Bordeaux rozpatrywał aferę, którą możnaby nazwać sprawą pocałunkową. Mianowicie na tarasie jednej z tamtejszych kawiarni policyjant zaczepił jakąś parę miłosną manifestującą nazbyt wyraźnte swoje uczucia przez pocałunki i uściski. Przyszło do gwałtownej wymiany zdań, a epilog tej sprawy rozegrał się w sądzie. Oskarżonym był jednakowoż nie zakochany agent handlowy, który całował w kawiarni swoją przyjaciółkę, ale policjant, któremu zarzucano nadużycie władzy. We Francji bowiem w przeciwieństwie do faszystowskich Włoch, całowanie się w miejscach publicznych nie budzi wielkiego zgorszenia. Jeden z paryskich dziennikarzy zwrócił się w tej sprawie o informacje do kierownika policji obyczajowej w Paryżu i zapytał go, czy całus może być rzeczą karygodną w obliczu prawa.

— Dopóki pocałunek jest wynikiem wzajemnej zgody i porazumienia — oświadczył kierownik policji obyczajowej — dopóty nie można go uważać za obrażenie ustawodawstwa lub moralności publicznej. Paryska policja moralności dopiero wtedy interwenjuje, gdy kobieta wnosi skargę, że jej przemocą skradziono całusa. Jeszcze i w takim wypadku należy brać pod uwagę ewentualne okoliczności łagodzące, czy winowajca nie miał powodu do przypuszczenia, że skarżąca zgodzi się na pocałunek.

Nie ulega wątpliwości, że częste i nazbyt długotrwałe pieszczoty i pocałunki na ruchliwej ulicy muszą być uważane jako pewnego rodzaju przeszkoda w komunikacji, W ustawodawstwie francuskiem nie istnieje jednak żadne zarządzenie, żeby wzbraniało takich publicznych przejawów uczucia.

Zatonięcie parowca. Parowiec „Negro" zatonął wskutek gwałtownego orkanu w pobliżu wysp Filipińskich. 80—100 pasażerów zaginęło. O los ich panuje obawa, tembardziej, że poszukiwania na wybrzeżu są nader utrudnione z powodu burzy na morzu.

Tajemnice wieku kobiecego. Jak się odbija wiek na wyglądzie kobiety, posłużyło za temat do odczytu, który wygłosił w Instytucie hygieny w Londynie sir Thomas Oliver, profesor, na wydziale medycznym w uniwersytecie w Durham. Zdaniem owego profesora, wiek zarówno u kobiety, jak i u mężczyzny nie jest zależny od ilości lat, ani od wyglądu, ale wyłącznie od samopoczucia danego osobnika. Kobieta, która ukrywa swój wiek, jest dobrodziejką dla swej płci, gdyż wobec jej pragnienia pozostania młodą za wszelką cenę, stworzyła ona całą naukę odmładzania się, opartą głównie na specjalnych zabiegach i hygienie. Obcięcie włosów i krótkość sukni zacierają do pewnego stopnia w powierzchownym wyglądzie kobiety zniszczenia, wywarte nieubłaganym zębem czasu. Wiek średni daje się we znaki znacznie więcej kobiecie, niż mężczyźnie. Toteż w tym wieku kobieta powinna zachować jak najdalej idące ostrożności, ażeby nie stracić figury i młodocianej gibkości ciała, wobec czego winna oddawać się umiarkowanej gimnastyce, sportom i poddawać się masażom, ale jedynie z porady lekarza. Zabiegi fizyczne powinny iść w parze z utrzymaniem pogody ducha. Oczywiście rady te dotyczą tylko tych kobiet, które nie pracują fizycznie. Kobiety wiejskie mają dość gimnastyki przy pracy w domu i w polu.

Bohaterski wódz czerwonoskórnych. Pisma amerykańskie sławią odwagę i poświęcenie dzielnego wodza czerwonoskórnych „Rudego Wilka", który z swymi wojownikami ocalił i przewiózł w bezpieczne miejsce mienie farmerów. „Rudy Wilk" urodził się wprawdzie w puszczy, ale od kilkudziesięciu jednak lat mieszka w pobliżu Nowego Orleanu, zajmując się rolnictwem i pasiecznictwem. Sąsiadami jego są „Kudłaty Niedźwiedź" i „Czerwonooki Jaszczur", również czerwonoskórni jak „Rudy Wilk" i znakomici hodowcy bydła i pszczół. Gdy rozszalała Mississipi przerwała wał ochronny w pobliżu Nowego Orleanu i poczęła zalewać obszary, znalazła się w niebezpieczeństwie ludność osady „Glace Town". „Białe twarze" nie zorjentowały się w niebezpieczeństwie, lecz grozę sytuacji zrozumiał natychmiast „Rudy Wilk". Pogrążeni w śnie mieszkańcy nie wiedzieli nawet, że otacza ich już dokoła woda. Czerwonoskóry bohater zbił na poczekaniu tratwy i wiosłując wraz ze swymi trzema współplemieńcami, podpłynął do „Glace Town" pobudził ze snu ludzi i przewiózł ich w bezpieczne miejsce wraz z dobytkiem. W pięć godzin potem woda zalała osadę.

Mieszkania żydowskie w jaskiniach. Naród żydowski za grzechy swoje został, jak wiadomo, skazany na rozproszenie i opuścił prawie zupełnie Palestynę, swoją ojczyznę, a natomiast osiadł we wszystkich krajach świata. Niedawno odkryto dużą gromadę żydów aż w głębi Afryki, osiadłych w jaskiniach skalnych koło pustyni Sahary, w południowym Tunisie, kraju należącym do Francji.



Ciągną się tam łańcuchy górskie, nagie i skaliste, setki kilometrów długie. W prostopadłych ścianach tych gór wykuły mieszkania stare żydowskie plemiona, które od półtora tysiąca lat tu osiedliły się. Prócz mieszkań w skałach w miejscowości Hadesz, znajduje się całe miasto pod ziemią, na 3 i 4 piętra w dół. Jest tam ratusz, synagoga, szkoła, sklepy — całe życie wre pod ziemią. Rycina nasza przedstawia „ulicę" w miejscowości Medenine; otwory w ścianie skalnej są wejściami i oknami mieszkań, pod któremi znajdują się też dolne, podziemne piętra.

RZECZY CIEKAWE.

Piwo wybawcą od śmierci.

Ksiądz Postawka w swoich wspomnieniach opowiada historyjkę, którą słyszał w Rzymie z ust ks. Kajsiewicza:

Papież Klemens VII, będąc nuncjuszem w Polsce, zasmakował bardzo w piwie polskiem. We Włoszech w owe czasy (był to wiek 16) piwa jeszcze nie znano. Upłynęło już sporo lat po powrocie z Polski, kiedy papież Klemens VII ciężo zaniemógł. Stan chorego wydawał się beznadziejny.

Zgromadzeni u łoża jego kardynałowie na klęczkach modlili się do wszystkich świętych. Nagle chory którego męczyło pragnienie, kilkakrotnie powtórzył: „Piwa, piwa!"

Kardynałowie włoscy, nie znając języka polskiego, pomyśleli, że „piwo" jest to imię jednego ze świętych polskich, którego nie wymienili w modłach swoich. Zaczęli zatem nową modlitwę:

— O sancta Piwa ora pro nobis (święte piwo, módl się za nami):

Papież usłyszawszy taką modlitwę, choć był w gorączce i pół przytomny, zaczął krztusić się od śmiechu i... odrzucił flegmę, która go dławiła. Sprawiło mu natychmiastową ulgę, a w chorobie nastąpił zwrot ku lepszemu.

Ludy podbiegunowe.

W miejscu gdzie Europa graniczy z Azją na najdalszej północy żyje lud, zwany Samojedami. Ciekawy to lud i ciekawe jego zwyczaje. Z rana, gdy słońce już stoi wysoko — samojedy lubią spać długo — wstają kobiety i rozpalają ogień i topią śnieg na wodę. Tymczasem zaczynają wstawać i mężczyźni, którzy rozpoczynają swój dzień od zapalania fajki; dopiero po jej wypaleniu, podrapawszy się we wszystkie możliwe miejsca, samojed idzie, by się umyć. A że wody jest mało, więc bierze się potężny jej łyk, płucze gardło, wylewa to na ręce i myje potem twarz. Oszczędność nadzwyczajna, bo jednym łykiem myje się zęby, gardło, ręce i twarz.

Dzieci myje się w ten sposób, że matka bierze wody do ust i rozpryskuje malcowi na twarz, trzymając go mocno za rękę, bo się wyrywa. Może zresztą ta oszczędność przy myciu jest usprawiedliwiona, bo już w pięć minut po umyciu, siedząc w chacie, samojed jest taki sam brudny, jak przed myciem: czarny i okopcony. Jednak ceremonjał mycia zawsze jest przestrzegany i ma miejsce przed każdem jedzeniem. Zamiast ręczników, które tam jeszcze nie dotarły, używa się u samojedów wiórów brzozowych, które kobiety przyrządzają co wieczór heblując pracowicie przyniesiony kloc brzozowy. Tymczasem herbata już gotowa; na stole, składającym się ze zwykłej deski, zjawia się mrożona ryba i inne pokarmy. Jedzenie trwa długo, bo samojed wypija 10 do 15 filiżanek herbaty; po śniadaniu następuje przegląd obuwia, które wszyscy w tym celu zdejmują i suszą. Zamiast pończoch czy skarpetek samojedy używają siana, gdyż chroni ich ono przed odmrożeniem nóg.

Jeśli czas jest zorzy polarnej lub księżyc czy gwiazdy przenikają do namiotu poprzez dym, wszyscy siedzą i oddają się drzemce. Gdzieniegdzie zaś pan domu kładzie głowę na kolana gosposi, co jest wyraźnym znakiem polowania; wtedy jej ręce uwijają się po włochatej głowie samojeda i co chwilę owoce połowu w postaci olbrzymich „blondynek" spadają z jej palców... do ust, bo polując na te owady kobieta zajada je z takim smakiem, jak u nas panie jadają cukierki. A choć takie polowanie jest bardzo pomyślne, bo daje kilkaset sztuk „zwierzyny", o wyłowieniu wszystkiego niema mowy.

Gdy już noc zapadnie, wszyscy idą na spoczynek, przyczm każda rodzina udaje się do swojej części namiotu; dzieci kładą się pośrodku, a starsi dokoła nich. Zrana budzi wszystkich dojmujące zimno; coprawda w namiocie nigdy nie dochodzi się do ciepłoty powyżej zera, ale różnica między dworem a wnętrzem namiotu jest bardzo znaczna. Gdy czas sprzyja, po posiłku idzie się na polowanie, które w lasach dziewiczych i tundrze ma urok szczególny.

Po powrocie z polowania uczestnicy opowiadają wrażenia, podczas gdy kobiety przyrządzają wieczerze; polując jednocześnie po głowie i całym swym ciele, wykonywa wyroki śmierci nad zdobyczą, naprawia trzewiki, w sposób wymowny wyciera nos i t. p., ani myśląc o doprowadzeniu rąk do porządku.

To też jeśli jedna osoba zachoruje w namiocie dziś, jutro chorują już wszyscy jego mieszkańcy.

Ludność Rosji.

Zsumowanie rezultatów spisu ludności, dokonywanego w listopadzie r. z. jest już prawie ukończone. Nieznane są jeszcze tylko dane,dotyczące niektórych okręgów Rosji Azjatyckiej. Ogólna liczba ludności Rosji sowieckiej wynosi 142.3 miljony. Jeżeli do liczby tej dodać chociaż na podstawie danych, poprzedzających spis, cyfry ilości ludności tych rejonów, skąd jeszcze nie otrzymano wiadomości — okaże się, że liczba ludności SSSR. dosięga 146 miljonów ludzi. Najściślejsze dane są te, które dotyczą ludności miast. O ile w pierwszych czasach bolszewickiej rewolucji gwałtownie się liczba ludności miast zmniejszyła, o tyle w czasach ostatnich daje się zauważyć duży przyrost ludności.

Według obliczeń sowieckich statystyków wzrosła ona do 20 i $^2/_3$ milj. W 1923 r., do 23.5 milj., w 1926 r. przyrost ludności zwłaszcza jaskrawo zaznaczył się w stolicach. W 1923 r. Moskwa posiadała 1,548 tys. mieszkańców, w 1926 — 2,018 tys. Petersburg w 1923 1,071 tys., w 1926 r. 1,611 tys. Przyrost ludności w Moskwie dochodzi do 30 proc. w Petersburgu do 50 proc. Najmniejszy przyrost ludności daje się zaobserwować w guberniach „Centralno-Czarno ziemnego Okręgu."

Obecnie Rosja posiada 30 miast z ilością ludności powyżej 100 tys. Następnym co do ilości ludności po Petersburgu jest Kijów z 493 tys., dalej idą: Baku — 444 tys., Odessa — 411 tys., Tyflis — 320 tys., Charków — 304 tys., Saratów — 201 tys. Wszystkie pozostałe 20 miast posiadają liczbę ludności pomiędzy 100 i 200 tys. ludzi.

Królowa demonów.

Kolonjalne pisma angielskie donoszą o wykryciu w Indjach, w okolicach małego miasteczka Malianur szczepu, rządzonego przez królowę demonów. Mogłoby się wydać, że cały szczep stanowią demony, lecz istotnie tak nie jest; poddani królowej demonów są jednak czarownikami i wróżbitami. Do Malianur ciągną pokryjomu karawany pielgrzymów, ponieważ tu znajdują pomoc w swych cierpieniach nerwowo chorzy — „opętani przez djabły". Dwa razy do roku odbywają się tu długotrwające uroczystości. Rozpoczynają się one straszliwą rzezią, gdy pod nożami kapłanów padają setki baranów i wołów, zarzynanych przed kamiennym ołtarzem. Krew zabitych zwierząt,

zebrana w kubki, zostaje postawiona przed ołtarzem i posągiem bogini Angalataj, obsługiwanej przez arcykapłankę noszącą tyt. „dzinniatrę", „królowej demonów". Głowy zabitych zwierząt ofiarnych zostają ścięte i spalone lub wystawione przed domami pobożnych. Po kilku dniach ciągłych ofiar następuje najbardziej interesujący moment — taniec djabłów. W tym balecie przyjmują udział pod przewodnictwem „królowej demonów" — „kobiety, opętane przez djabły". Tłumy kobiet i mężczyzn, czyniąc straszliwy hałas i zdradzając wielkie podniecenie nerwowe, przyprowadzają na „święty plac" opętane kobiety. Przy szalonych krzykach, dźwiękach bębnów i piszczałek, „opętane" zaczynają tańczyć zawrotny taniec, padają zemdlone, lecz „królowa demonów", wymawiając zaklęcia, biczem zmusza je do nowych tańców, aż oznajmia, że djabeł opuścił ich ciała. Nieraz się zdarza, jak piszą dzienniki, że wraz z djabłem odlatuje też dusza nieszczęsnych ofiar starożytnego kultu bogini Angalataj.

Odpowiedzi Redakcji.

Pp.: **Michał Rudnik** w Danji: List Pański przeczytaliśmy z wielkiem zaciekawieniem. Jest on zupełnie słuszny, a choćby sprawił przykrość niejednemu z naszych rodaków, chętnie go wydrukujemy. — **Józef Stefanik** w D.: Druk obydwóch powieści ukończymy wkrótce. Następnie rozpoczniemy nowe, jeszcze ciekawsze, aniżeli obecne. — **Stanisław Zawolski** w D.: „Rola" jest pismem bezpartyjnem i od nikogo nie zależnem, bo nikt na nią, prócz prenumeratorów, grosza nie łoży. Ale też dlatego właśnie na nikogo napadać nie chce tembardziej. że polityką się nie zajmuje.

Na fundusz wydawnictwa nadesłali PP.:
Masłowski Franciszek z Komarówki 80 gr. dla Maćka na „sporty"; Stanisław Malinowski z Bestwiny dla Maćka 2 zł.; Michał Kosacz (Francja, Pas Brion) 2 franki.

Giełda płodów rolniczych

z dnia 7 czerwca b. r.

Pszenica	00·00—00·00	Słoma długa	5·00— 5·50
Żyto	53·00—54 00	Ziemniaki stoł.	12·00—14·00
Owies	43·00—44·00	Koniczyna na-	
Jęczmień	43·00—45·00	sienn. czer.	00·00—00·00
Groch zwyk.	48·00 - 53·00	Mąka pszen.	93·00—95·00

Ceny rozumieją się za towar średniej handl. jakości za 100 kg.

Giełda pieniężna

Dolary Stanów Zjed.	8·94—8·90	Korony czeskie	26·44—26·50
Funty szterl.	43·46—43·58	Franki szwajc.	172·48—172·62
Franki francuskie	34·96—35 05	Liry włoskie	49·12—49·48



Zagadki do nagrody.

1. Logogryf.

(Ułożył W. Ciepiela z B.).

■ ☆ ■ ☆ ☆ Chleb biblijny.
■ ☆ ■ ☆ ☆ Duch.
■ ☆ ■ ☆ ☆ Miasto w Dalmacji.
■ ☆ ■ ☆ ☆ Wstecz dowcipy.
■ ☆ ■ ☆ ☆ Wstecz góral.
■ ☆ ■ ☆ ☆ Część zamku.
■ ☆ ■ ☆ ☆ Część buta.
■ ☆ ■ ☆ ☆ Wstecz toast u Węgrów.
■ ☆ ■ ☆ ☆ Sułtan turecki.
■ ☆ ■ ☆ ☆ Instrument muzyczny.
■ ☆ ■ ☆ ☆ Wstecz zdrob. imię męskie.
■ ☆ ■ ☆ ☆ Inaczej doskonałość.
■ ☆ ■ ☆ ☆ Specjał w żargonie.
■ ☆ ■ ☆ ☆ Część rośliny.
■ ☆ — ☆ ☆ Wstecz tytuł pieśni.

Litery początkowe, czytane z góry na dół dadzą imię i nazwisko poetki polskiej, środkowe początkowe słowa jej pieśni.

2. Szarady.

I.

Jedna laska, kółka dwa,
Pierwszą zgłoskę poznać da.
Drugie z trzeciem żeńska płeć,
Najpiękniejsze rada mieć.
Całość mają monarchowie,
I biskupi i królowie,
Lecz nie powiem jak się zowie.

II.

(Ułożył Antoni Frączek z P.).

Pierwsza druga nić pająka bywa,
Druga trzecia w gminie się odbywa,
Całość sama przez się znana,
W niektórych gazetach bywa umieszczana.

III.

(Ułożył Wł. Gleń z M.).

Pierwsze i pół drugiej to produkt domowy,
Zajada go chętnie starzec czy też dziecię,
Pierwsza wspak i druga to jest znak nutowy,
W muzyce napewno obydwa znajdziecie.
Pasterz pasąc w polu śpiewa czwarte trzecie
Albo czasem matka gdy kołysze dziecię.
Całość zaś każdy z przyjemnością słucha,
Zwłaszcza gdy jest piękna i miła dla ucha.

Kwadrat magiczny.

(Ułożył Żelazowski Kazimierz z M.).

■ ■ ■ ■ Inaczej niwa.
■ ■ ■ ■ Gaz.
■ ■ ■ ■ Tytuł angielski.
■ ■ ■ ■ Góry w Ameryce.

Wyrazy powyższe mają być czytane tak poziomo, jak i pionowo.

4. Przestawianka.

(Ułożyła Stankiewiczówna z P.)

We gło kto wa ka żni du szu na się chło pi w mie cier du ri.

Z powyższych wyrazów ułożyć znane przysłowie polskie.

Termin nadsyłania rozwiązań upływa dnia 18 b. m.

Znaczenie zagadek z Nr 22 „Roli": 1. Logogryf Tadeusz Kościuszko. 2. Szarady: Barykada, Kaleka. 3. Zagadki: Adam, Dentysta. 4. Bilety wizytowe: Kancelistka kolejowa, Inspektor drogowy.

Dobre rozwiązania w oznaczonym czasie nadesłali: Józef Fedorczuk z Rz., Wiktorja Mikówna z Zg., J. Ciebiera z Rz.

Narody otrzymali: W. Mikówna ze Zgłobienia i Józef Fedorczuk z Rzochowa.

Wydawca: Feliks Kowalczyk. Odpowiedzialny Redaktor: Antoni St. Bassara.
W drukarni «Czasu» w Krakowie pod zarządem Leopolda Wójcika.

Uniewinnił się.

Sędzia: Człowiecze, musiałeś chyba obracać się w złem towarzystwie?

Złodziej: Panie sędzio, od dwudziestego roku życia tylko z sędziami mam do czynienia.



I to pokuta.

— Tak późno wracasz ze szkoły smarkaczu? Pewnieś znowu siedział za pokutę?

— Przecież mamusia sama mówiła, że podczas postu powinno się odbywać pokutę.



Syn: Dlaczego tatuś taki łysy?
Matka: Bo dużo myśli!
Syn: A dlaczego mama ma tak długie włosy?
Matka: Czemu... no, nie bądź głupi.

W szkole żydowskiej.

Nauczyciel: Moryc, powiedz mi do czego służy mydło?

Moryc: Midło, proszy pana profesora służy do sprzedawania.



— Icyk, czy ty wiesz jaka jest różnica od łóżka a zająca?

— Ja nie wiem.

— To jest taki różnicy, że łóżko szczeli sze z przeszczeradłem, a zając szczeli sze z pistoletem.



Nauczyciel: Jak się nie poprawisz, to ojca przyprawisz o siwiznę.

Walek: Tatuś nie osiwieją, bo są przecież łysi.

Aby ułatwić zachęcanie do zaprenumerowania „Roli" wszystkim nowym Prenumeratorom dajemy numera dla całości rocznika z I-szego kwartału za 2 zł. 60 gr.

Gdy wyczytasz ogłoszenie
I uczynisz zamówienie.
Pisz wyraźnie i powoli,
Żeś to czytał w naszej Roli.

W Administracji „Roli" są do nabycia niektóre numera „Roli" z roku 1912, 1913 i 1914 nie tworzące całości rocznika, które się wysyła po nadesłaniu 15 groszy za każdy egzemplarz. Można nadsyłać w liście znaczkami pocztowymi.

Zawiadamiamy Sz. Czytelników, którzy mają z ich własnej winy numera „Roli" poniszczone lub zagubione, że możemy im w miejsce takich przesłać nowe po nadesłaniu 25 groszy za egzemplarz i można przysyłać w listach znaczkami pocztowymi.

Wszystkich prenumeratorów prosimy o adresy osób, którymby mogły „Rolę" zaprenumerować, a numera okazowe im prześlemy.

Numerów z r. 1926 t. j. od początku wydawania „Roli" posiadamy jeszcze tylko po kilkanaście egzemplarzy i kosztują tylko 1 zł. 50 gr.

Przy przesyłaniu prenumeraty przekazami pocztowymi prosimy adresować nie do Administracji „Roli“ lecz: Konto pocztowe 406.301 Kraków.

Na reklamacje znaczków pocztowych się nie nalepia, pisząc na zwykłej kartce „Reklamacja“: Nr... nie otrzymałem i swój adres.